

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 198.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 11 lipca 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Dom ziemstwa kredytowego w Poznaniu (z drzeworytem).
Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. —
Miłość i basetla (z pięcioma drzeworytami). — Domy dla
rzemieślników i wyrobników w Warszawie. — Za młody (po-
wiastka rymowana). — Piotr Tomicki (dokończenie). — Sza-
chy. — Rebus.

nowszego życia nadać nie mogły, bo przecie choć później
trzeba było oddać tak kapitał jak i zaległe odsetki.

Gdy więc właściciele ziemscy w w. ks. poznań-
skim już w smutnym po większej części byli poło-
żeniu, wydany został jeszcze w r. 1819 rozkaz kró-
lewski uwłaszczający chłopów. Ważną tę zmianę u-
waża wielu nam niechętnych jako postęp obcej cy-
wilizacji u nas zaprowadzony. My zaś przeciwnie

statecznie mógł ziemię uprawić i wszelkim prawom
gospodarczym zadość uczynić.

To stało się powodem do zawiązania Towarzystwa
kredytowego w w. ks. poznańskim, tém bardziej gdy
podobne stowarzyszenia istniały już w innych pro-
wincjach pruskich. Potrzebny do tego regulamin zo-
stał uchwalony i przyjęty w dniach od 4 paździer-
nika do 2 listopada, a zatwierdzony przez króla Fry-
deryka Wilhelma III w d. 13 grudnia 1821 r. Sta-
nęło więc Towarzystwo samo w

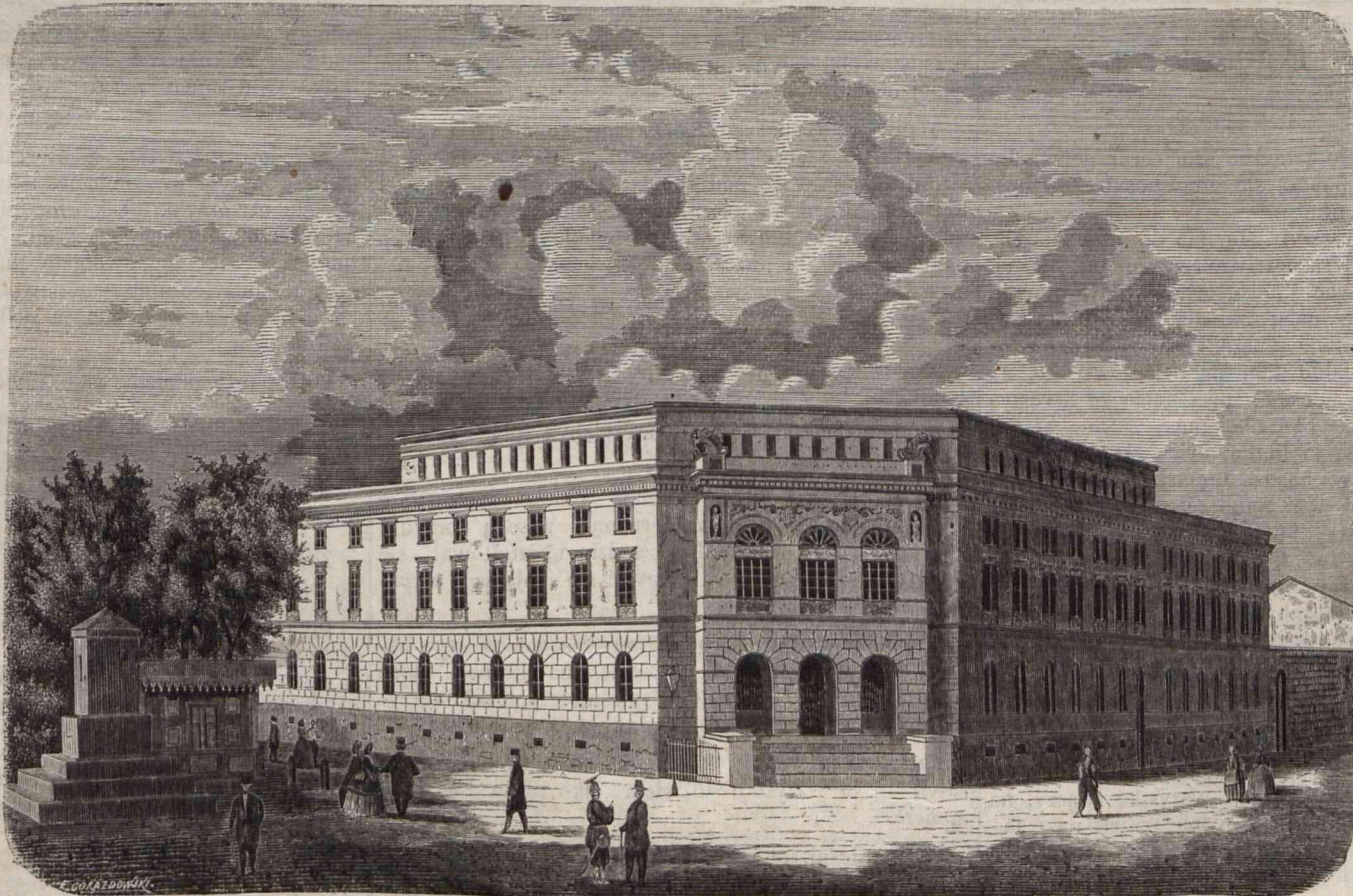
sobie, bez żadnego
zewnętrznego
wpływu tak
władz rządowych
jak i sądownic-
twa, pozostając
li tylko pod
zwierzchnim nad-
zorem naczelnego
prezesa prowinc-
cji, jako królew-
skiego komisarza.
Postanowiono w
tym regulaminie
między innymi,
aby listy zastaw-
ne w. ks. poznań-
skiego, wystawia-
ne na okaziciela,
udzielane były
właścicielom
ziemskim w po-
łowie wartości, ja-
ka z szacunku ich
dóbr się wykaza-
ła. Wszyscy stow-
arzyszeni, soli-
darnie związani,
odpowiedzialni są
dobrami swemi
w miarę zacią-
gniętej pożyczki,
nietylko za pe-
wność kapitału i
procentów na do-
brach ich zapisanych, ale nawet za bezpieczeństwo
listów zastawnych na innych dobrach ciążących. Li-
sty te zastawne przynoszą 4 procent i podlegają
amortyzacji obrachowanej na lat 41. Członkowie bio-
rący pożyczki, obowiązani są płacić rocznie 5% na
umorzenie i 1/4% na opędzenie kosztów admini-
stracji.

DOM

ZIEMSTWA

KREDYTOWEGO W POZNANIU.

Jeżeli za cza-
sów Prus połud-
niowych wartość
dóbr ziemskich
doszła do bardzo
znacznnej wysoko-
ści, a przynajmniej
wysoką cenę za
nie płacono, to
tém dolegliwszemu
dla właścicieli
dóbr ziemskich
stać się musiało,
gdy w skutek kil-
koletnich wojen
napoleońskich,
wartość tychże
dóbr zmniejszyła
się w krótkim
czasie do trzeciej
prawie części po-
przedniejszych
wartości, a zarazem
upadły rolnictwo
i kredyt. Były
wprawdzie pod-
ówczas potrzeby
daleko mniejsze i
mniejszemi pie-
niędzmi można
było swe żądania
zaspokoić; gospodar-
stwo rolne nie
kosztowało, gdyż
stało się ogólną
prawie zasadą,
aby z niego ile
można ciągnąć,
a nie nie wkładać;
wreszcie mając
zaciągi i robociznę
chłopów, każdy
sądził, iż przez
nie swą rolę jak-
najlepiej obrobił,
a przynajmniej
na jej obrobienie
nie wydać nie
potrzebował. Ciążyły
jednakże na
dóbrach długi,
w lepszych pod
względem
pieniężnym
zaciągnięte
czasach. Moratoria
za księstwa
warszawskiego
ustanowione,
przewlekły
wprawdzie
przesilenie, ale



DOM ZIEMSTWA KREDYTOWEGO W POZNANIU.

slusne mamy
prawo żalować,
iżesmy tak
długo i tak
licznych dozna-
li zewnętrżnych
trudności i
przeszkód,
że tego prawa
sami oddawna
ogłosić nie
byliśmy w
możności. Jak-
kolwiek zaś
odtąd policzyć
należy e-
pokę wzrostu
u nas rolnictwa,
jednakże
nagła ta
zmiana dole-
gliwie znów
wpłynąć
musiała na
losy zubożale-
go już prawie
właściciela
posiadłości
ziemskiej;
który naraz
ujrzał się w
konieczności
zakupienia
potrzebnych
inwentarzy
w dobrach
swoich, a za-
razem przyjęcia
tylu komorników
i czeladzi, aby do-

brach ich zapisanych, ale nawet za bezpieczeństwo
listów zastawnych na innych dobrach ciążących. Li-
sty te zastawne przynoszą 4 procent i podlegają
amortyzacji obrachowanej na lat 41. Członkowie bio-
rący pożyczki, obowiązani są płacić rocznie 5% na
umorzenie i 1/4% na opędzenie kosztów admini-
stracji.

Na czele zarządu Towarzystwa stoją dyrektorowie
generalny i prowincjonalny, z potrzebną liczbą rad-
ców, z pomiędzy członków Towarzystwa wybieranych

i syndykem. Dyrektorowie ci podlegają komitetowi raz w rok zbierającemu się i ogólnemu zebraniu, które w nadzwyczajnych tylko zwoluje się przypadkach. Wszystkie zaś odbywa się, jak już powiedziano, pod nadzorem królewskiego komisarsza.

Nie będziemy tu zastanawiać się bliżej na regulaminem tego stowarzyszenia, wspomniemy tylko że zakres jego czynności nadzwyczaj się rozszerzał, gdyż wydano najprzód czteroprocentowych listów zastawnych w summie przeszło 78,000,000 złp., reskryptem zaś z d. 15 kwietnia 1842 r. Król Fryderyk Wilhelm IV dozwolił na wypuszczenie nowój ich seryi.

Pierwsze swe czynności po zawiązaniu się Towarzystwa odbywało Ziemstwo w domu najętym przy rynku nowego miasta w Poznaniu. Później na ten cel kupiono hotel pod Słońcem na Wrocławskiej ulicy. Lecz po niedługim czasie, dom ten stał się zaścizupłym i niewygodnym, mianowicie zaś lokal kasowy wiele do życzenia pozostawiał. Na walnym przeto zebraniu w dniu 3 listopada 1836 r. postanowiono, aby natychmiast zakupić plac Schwartza, dawniej Dzieduszyckich, na rogu ulic Wilhelmskiej i Fryderykowskiej i rozpocząć budowę domu dla Ziemstwa.

Tymczasem przy rozpoczęciu budowy oddalenie się budowniczego Sollera do Berlina, zmusiło dyrekcją Ziemstwa, do przyjęcia na dozorcę budowy budowniczego miejskiego Fretera, który bynajmniej żądaniu nie odpowiedział, a przez rozporządzenia niewłaściwe i wydatki mniej potrzebne, wreszcie przez zmarnowanie materiałów budowlanych, znacznie kosztorys powiększył.

Tak więc dom Ziemstwa kosztuje złp.	356,208
plac kupiony do budowy „	47,940
zabudowania podwórzowe „	30,168

Razem złp. 434,316

Z późniejszymi zaś jeszcze drobnymi wydatkami, podniosła się ta summa do złp. 440,640.

W gmachu tym, wzniesionym w najludniejszej okolicy miasta, dotychczas zajmują izby służbowe dyrekcji generalnej i prowincjonalnej, wraz z salami sesyjnymi i skarbcami. Na pierwszym piętrze w środku nadwnięciem znajduje się obszerna i wysoka przez dwa piętra sala na walne zebrania; do niej przytykają z obudwóch stron pomieszczenia dyrektorów. Drugie piętro wynajmowane bywa za pomierną cenę urzędnikom Ziemstwa. Wreszcie w suterrenach mieszczą się sklepy, schowania i mieszkania woznych.

Kronika tygodniowa.

Zle idzie na świecie i będzie szło coraz gorzej, dopóki fabrykanci nie nauczą się przysposabiać dobrze i czystego atramentu.

Bo dziś rzeczy pogorszyły się już do tego stopnia, że nawet kartki papieru uczciwie zaczerpnąć nie można.

Łatwo wam żartować z tego, wam którzy nic nie piszecie, albo piszecie mało; ale dla mnie, który z urzędu i powołania stawiam muszę koniecznie jedną o bok drugiej około 10,000 liter na dzień, 70,000, na tydzień, 300,000 na miesiąc, przynajmniej że kwestya atramentowa nie może być obojętną.

A dodam jeszcze że ta liczba, która się wam wielką wydaje, jest nawet bardzo umiarkowaną; wyrachowano bowiem że pani Sand pisze na miesiąc liter 500,000, Kraszewski 900,000, Dickens, 1,200,000, Aleksander Dumas ojciec 2,000,000, a podobno Lope de Vega przeszedł wszystkich w tym względzie, bo oprócz rozmaitych innych utworów, napisał około 1800 sztuk wierszem (tragedyj, komedyj, tragicomedyj i *autos sacramentales*).

Wybaczyć że przy skromnym i nieznanym nazwisku feljtonisty, umieściłem nazwiska tych wielkich potentatów pióra, ale uczyniłem to tylko dla poparcia cyfrowego wyrachowania, a jak wiadomo, cyfry są niezblagane; w nich ilość wszystko znaczy, na jakoś nikt się nie ogląda, i w obec nich nasz Jacek Przybylski przewyższa Homera, bo z każdego wiersza ojca greckich poetów, trzy swoich potrafił ukuc.

Ta ilość zresztą niewiele dowodzi; Desbarreaux bowiem jednym sonetem, którego autorstwa nawet Wolter mu zaprzecza, zyskał sobie europejską sławę, a któż zna dzisiaj Chapelain'a albo Scudere'go, chociaż tyle nabazgrali za życia?

Ale wróćmy do naszego punktu wyjścia, to jest do atramentu.

Były czasy w których sprzedawano u nas atrament w wielkich kwartowych butelkach, po cenie kilkunastu groszy, albo najwyżej złotówki za jedną.

I atrament był dobry, płynny, czarny, nie gęstniał

zbyt prędko, nie żółkł ani nie bladł na papierze i wybornie nim pisać było.

Ale dziś inaczej się dzieje.

Dzisiaj, przy wielkich postępach jakie uczyniła chemia, zaczęto się zastanawiać nad składem atramentu i poczyniono w fabrykacji jego rozmaite ulepszenia.

Szacowny ten płyn nie sprzedaje się już w owych starodawnych kwartowych flaszczkach; na przechowanie jego sprowadzają z zagranicy, albo przechowują na miejscu, eleganckie flaszeczki, kamionki, flakoniki, naczynka różne z etykietami herbami, godłami, prospettami i opisami. Mamy atramenty angielskie, paryskie, pragskie, berlińskie, japońskie, malajskie, słowem ze wszystkich stron świata, z tą tylko drobną różnicą, że co się dawniej liczyło na grosze, dziś się na złotówki liczy.

I cóż z tego?

Ot macie mnie za przykład.

Próbowałem już wszelkich atramentów, na jakie tylko stać handle warszawskie. Kupowałem czarne, czerwone, niebieskie, fioletowe, i alizaryny, i przemakalne, i nieprzemakalne, i wieczne, i czasowe, atramenty specjalne do piór stalowych i wyłączne do piór gęsi, słowem nie opuściłem ani jednego flakonika, nie pominąłem ani jednej flaszeczki, nie zapomniałem ani o jednej kamionce.

I po zrobieniu każdego nowego nabytku, wiecznie tylko wpadałem ze Scylli w Charybdę.

Jedne z nich zjadają pióra i wypalają dziury w papierze; drugie gęstnieją tak, iż po dwóch dniach w kalamarzu pozostaje się tylko jakaś masa czarna bez śladu prawie płynu; inne przy lada wilgoci przybierają tężowe barwy i tak się rozlewają w półcień, że wzięwszy tylko spoconymi palcami kartkę zapisanego papieru, już się litery zacierają do niepoznania; inne nareszcie, wydając się z początku zwykłym płynem atramentowym, przemieniają się w kilka dni na atrament sympatyczny, z tą tylko różnicą, że w tym ostatnim niewidzialne litery przy użyciu chemicznego odczynnika czernieją i wyraźne przybierają kształty, tutaj zaś czarne i wyraźne zrazu litery, po kilku dniach blakną, nikną i czysty tylko pozostaje papier.

Może to być wygodnym w wielu razach, naprzykład przy podpisywaniu weksli; ale w rękopisach podawanych do druku takie przymioty atramentowe przedstawiają pewne niedogodności, które zecerzy najłepiej ocenić umieją.

Wprawdzie wiele się rzeczy napisało albo i napisze w życiu, o którychbyśmy pragnęli ażeby znikły bez śladu, zakopały się pod ziemię, zaginęły w pamięci ludzkiej. Ale to nie przeszkadza, że ten blaknący i niknący atrament bardzo jest niedogodnym dla autorów, niedogodniejszym jeszcze dla składaczy.

A te niedogodności niczem są jeszcze przy pleśniach.

W każdym z terazniejszych atramentów przy lada zetknięciu się z powietrzem tworzą się pleśnie.

I wierzajcie mi, jest to prawdziwa plaga dla piszącego.

Po starannym wyczyszczeniu pióra, maczasz je w kalamarzu, i nagle zabiera ono z sobą obrzydły narost, który przez kilka godzin ukształtował się w tym przybytku nowo pojawić się mających wyrazów, że nie rzeknę myśli.

A potem czyść jak chcesz, zawsze coś z tego zostanie się na piórze, na papierze, na literach które piszesz. I tworzą się z tego spleśniałe zgłoski, zgrzybiałe wyrazy, potworne zdania.

Czytelnik dziwi się, krytykuje, czyni zarzuty autorowi, a to wszystko działała tylko pleśń w atramencie.

Oj te pleśni, te grzyby!

I czyliż tylko w atramencie pojawiają się one, czyliż nie wyrastają i na łonie społeczności, stokroć zjadliwsze, stokroć szkodliwsze i potworniejsze?

Bo mniejsza już o to, że autor spleśniałym atramentem pisząc, utworzy niesmaczny artykuł, albo niesmaczne dzieło. Wpływ jaki artykuł albo dzieło wywrze, zawsze jest przemijający. Ale pleśń społeczńska, to najstraszliwsza, kara jaką prawica Boża spuścić może na naród. To życie bez życia, to zagadkowe jakieś istnienie, wysysające napróżno żywotne soki, a nie wydające w zamian ze siebie nic. To zaraźliwa narośl na ciele społecznym, na którą żadne leki nie

poradzą, która czerpiąc siłę w sobie samej, we własnym swoim zepsuciu, rozszerza się coraz bardziej i coraz większą przestrzeń ogarnia.

Bo rzeczywiście, na jakimkolwiek gruncie się urodzą te grzyby, podobne one do siebie jak dwie krople wody, z tą tylko różnicą, że jedne z nich są więcej jadowite, drugie mniej. Zmiany, przejścia, burze, które niszczą najurodzajniejsze nawet rośliny i drzewa, im nigdy nie szkodzą. One w nikczemności swojej niedostępne są zniszczeniu. Uragan co łamie stuletnie dęby, całą siłą przechodzi ponad niemi, nie wywierając na nich najmniejszego wpływu. A uparcie trzymają się one gruntu na którym wyrosły i jak głowy hydry lernejskiej z korzeniem nawet wykopane, odrastają znowu. Są one wieczne, jak wiecznym jest ujemny pierwiastek w ludzkości. Zatruwają w koło siebie powietrze; gdzie wyrosną, wszystko schnie i wyniszcza się. A nie idzie im to w korzyść, bo wciągając w siebie ożywcze soki dla użytecznych roślin przeznaczonych, pęcznią tylko i coraz szkodliwszego nabierają jadu. Wieku po nich nie poznasz, bo lata niepostrzeżenie przechodzą ponad niemi. A co je obchodzi zła lub dobra dola tego co je otacza? one urodziły się grzybami i grzybami na wieki pozostaną.

Chciałbym być naturalistą i potrafić zliczyć wszystkie osobne rodzaje i gatunki grzybów, które wyrastają na gruncie naszym.

Jest tego wielka moc.

I co gorsza, kryją się one w cieniu, w największej gęstwi, przejdiesz koło nich i nie dojrzysz ich ani domacasz, a istnieją tam jednak i rozradzają się ciągle po swojemu.

Przychodzi czas, że taki grzyb udaje się za krzak, za zaród drzewka, za roślinkę jakąś.

„Nie niszczone mnie, mówi on, jam twór użyteczny. Cierpliwości tylko, niech-no wyrosnę i rozwinę się należycie! Będziecie mieli pożytek ze mnie, bo niewiele, potrzebuję i sam potrafię się wyhodować o własnych siłach. Nie niszczone mnie i poczekajcie.

Biada tym którzy wierzą. Grzyb jest pleśnią i nic z niego nie powstanie, tylko zepsucie. Niech mi kto powie czy widział kiedy las grzybowy? Owszem, wypłenić te narosłe gdzie można, bo z nich zniszczenie tylko i śmierć. Na oczyszczeniu takim zdrowa roślinność zyska tylko. Zgnieć je nogą przechodni, rolniku wyrwij je motyką z korzeniem. Niech przypadnie i zniknie wszystko co jest grzybem, a świat Boży w dwójnasób wzrośnie w piękno i siłę roślinną.

Ale dość już o tém: zamierzaliśmy tylko kilka słów napisać w tym przedmiocie, a tu niechcący parę kartek się utworzyło. Tak to pióro pociąga za sobą pisarza, pomimo jego woli. Niezawsze jednak można zostawić tę swobodę pióru, tak jak i wielu innym najużyteczniejszym nawet rzeczom; trzeba założyć hamulec, bo i ono w wybrykach swoich szkodliwym stać się może.

I o czémże miałem wam pisać?

Atrament i grzyby wygluzowały mi z pamięci pierwotny plan mojej kroniki.

A... przypominam teraz sobie, chciałem wam pisać o kobietach.

Zaprawdę, wdzięczny przedmiot, ale jakże trudny do opracowania!

Przepraszam za to trochę prozaiczne wyrażenie; mogłoby ono nastęrczyć myśl, że chcę uważać kobiety za sprzęt albo wyrób jakiś, kiedy rzeczywiście tylko o ich duchowym, a raczej sercowym znaczeniu pragnę mówić.

Otóż przedewszystkiém wspomnę, że ci którzy z jakakolwiek uwagą czytali ciąg moich kronik, powinni byli osiągnąć przekonanie, że pod wielu względami oddają kobietom naszym pierwszeństwo przed mężczyznami.

Same zarzuty jakie kobietom naszym czyniliśmy, za niemi już, a przeciwko mężczyznom przemawiają. Razilo to że u nas większa niż gdziekolwiek stosunkowo liczba kobiet zajmuje się naukami, literaturą, poezją. „Na co nam te filozofki, wołano na co te uczone? Do dzieci im, do gospodarstwa, do domowych zajęć, do igły lub krośna, a nie do rozprawiania o duszy, pisania mistycznych poezyj i ślęczenia nad książką. Kobiety piszą rozprawy, krytyki, dzieła specjalne. Kobiety pracują nad nauką i psychologią. A tymczasem pieczeń spalona, mąż chodzi w niezaczerwanym

bieliznie, dzieci piszcza bez dozoru, a pod sprzętami kurzu jak nabił, bo służące, pozostawione woli własnej, robią co chcą, a raczej nie robią. Nam chyba pozostaje kotuszać dzieci i cérować bieliznę, jak to już Fredro przepowiedział.

I mieliście słusność, moi panowie. Na tym świecie każdy bierze swoje dobro, ale musi zato dopełnić nałożonego nań obowiązku. Kto zaniedba jednego, ten drugiego niema. I któż temu był winien, że kobiety nasze rzuciły się do zajęć, które przez nie wyjątkowo tylko powinny być uprawiane? Któż temu winien? Oto my. Zawsze, koniecznie, nieodwołalnie my. Kobieta szukała mężczyzny na miejscu, które zdawało się mu przez prawa Boskie i ludzkie naznaczone, szukała w nim podpory, oświaty, kierownika, chciała nabrać od niego energii i woli, chciała zaczerpnąć odeń tej siły, która zdawała się właściwym jego udziałem, a znajdowała co? Przed nią stawał manekin w suknie męskiej przybrany, mechaniczna figura, nakręcająca się do pewnych regularnych ruchów, bezmyślna istota, dla której żołądek był prawem, a śniadankowe i ogródkowe zabawy wyłączną przyjemnością życia. Kiedy jedynym naszym czytaniem (jeżeliśmy czytali) były tylko kalendarze i czasem gazety, cóż dziwnego że kobiety brały się do dzieł poważnych? Kiedy skracaliśmy rozmowę z nimi prowadzoną, kiedy unikaliśmy obcowania z nimi, dlatego tylko żeby się nasza bezmyślność, ciemnota i brak wykształcenia w smutniejszem nie wydały światło, coż dziwnego że one brały się do dzieł poważnych i ścisłych rozpraw? Kiedy doskonaliliśmy się ciągle w przesławnej sztuce wygrywania siedmiu w kier, mając tylko sześć lecz pewnych a siódmą przypuszczalną i instynktowego trafiania w renons, dlaczego szczególnie nam się wydawało, że kobiety nasze czytały rozprawy o powinnościach człowieka i zapragnęły się wdziierać na najstrome wyżyny filozofii? One tylko wprost zastępowały nasze miejsce, bo czuły że jest opróżnione. A my zaślepieni wyrzekaliśmy na nie, czyniliśmy im wyrzuty! Nas to, nas samych obwiniać należało.

A potem... I pocóż powtarzać tutaj to, o czém każdy z nas wie dobrze, czemu mógł się przypatrywać na własne oczy, jeżeli miał oczy do widzenia. Zwad powierzchownych, jakie mogliśmy zarzucać kobietom naszym, poprawiły one się same z siebie, jednomyślnie, z natchnienia. Powierzchownych mówię, bo wewnętrzny ich ustrój był zawsze po większej części przynajmniej takim, jakim go im matki nasze święto-bliwej pamięci przekazały. Kiedy u nas szło się niepodwójnie, wiara żyła w nich. Kiedy ulica była dla nas domem, dla nich dom był świątynią. A niemoralność! Obejrzenie się poza siebie i w koło siebie. Kto sprawił że w literaturze naszej każda książka z mniej więcej dwuznacznym dążeniem, książka która zagranicą najlepszego doznałaby przyjęcia i nikogoby nie zraziła, u nas nieodwołalnie była potępiona? Zkąd to poszło? Oto ztąd, że literatura musi być odbiciem życia, a u nas *życie domowe* inne zupełnie aniżeli gdzieindziej przedstawiało obrazy. Zapewne nie chcą tu przedstawiać Warszawy i znaczniejszych miast naszych jako raj ziemski. Szatan zaglądał tu i owdzie i podawał jabłka Ewom; ale jakże rzadkie były u nas te Ewy, w porównaniu zwłaszcza do innych społeczeństw! Wyjątkowo tylko zepsucie z ulicy poza próg domowy przechodziło. A kto strzegł świętości, tych progów? Oto kobiety tylko i kobiety wyłącznie. Śmiało, z szacunkiem, z poważaniem, z uwielbieniem prawie każdy z nas może wymówić imię matki swojej; bo to imię pozostało nieskalane. Czybysmy wszyscy dobrze wyszli biorąc wzór z ojców, to pytanie jeszcze.

Wielu z nich stało się niestety dla nas przykładem, wzorem nie.

Więc jakież uzasadnione zarzuty kobietom naszym mogliśmy poczynić?

Oto to właśnie, na co stosunki z nami najwięcej wpływają, w czém każdy z nas, uderzywszy się w pierś, nie im ale sobie winę przypisze. Powierzchowne cechy, brak oszczędności, stroje, nieopatrne wydawanie pieniędzy. A i ta wada, powstrzymywana przykładem i radą, szepciła się tylko w kobietach naszych przez zbytnią chęć wywierania na nas, wpływu. Nie zaglądałszy do ich serc i głów, patrzyliśmy tylko w twarze, śledziliśmy za powierzchownością; one też tę powierzchowność starały się jaknajudatniej przystroić, żeby tym choć sposobem przywiązać nas do siebie i pociągnąć za sobą. Był to błąd, ale błąd konieczny, wpływający z fałszywego kierunku jakim my sami poszliśmy. A i w tym nawet opatrzyły się one i zrobiły co mogły, a zrobiły to przez siebie, nie przez nas, bo my nie mieliśmy prawa narzucać im swojego zdania, rad swoich. Wyższość nie nakazuje

się, ale przychodzi sama z siebie. A my zaledwie zdążyliśmy za nimi; gdzie nam więc było myśleć o wyprzedzaniu ich?

Jeżeli odwaga, jeżeli wytrwałość są cnotami mężczyznami, jeżeli bezwzględne poświęcenie się jest najwyższym szczytem, do jakiego natura ludzka dojść może, spytajmy się sami siebie, kto z nas większy posiada zasób tych przymiotów, my czy one?

Nie dla obrony kobiet naszych skreśliłem te wyrazy; dzięki Bogu, nikt u nas (z tych przynajmniej co myślą, co wiedzą, co czują) nie czyni im zarzutów. Ale pisałem to dlatego, ażeby umocnić je w przekonaniu, że ogół wie ile one są warte, ile w sercach ich tkwi prawdziwych cnót domowych i chrześcijańskich. Wszakże zbrocenia, jeżeli istnieją w nich jakie, dostrzegają one same w sobie i wypleniają. Kto czuje wewnętrzną swą wartość, temu się błyskotki nie uśmiechają, kto posiada dyament w sercu, ten fałszywymi kamieniami skroni zdobić nie będzie.

Po napisaniu powyższego ustępu, tém śmieliej wspomnę o nadużyciu, które żadną miarą milczeniem pokryte być nie powinno. Handel u nas ustał, przemysł śpi, pieniądze brak, ubóstwo wszędzie. Kupcy się skarżą, przemysłowcy bankrutują, robotnicy nie mają zarobku. Obowiązkiem więc jest zamożnych domów, których kilka zostało jeszcze u nas, przy wydarzonej sposobności zapelnąć choć drobną cząsteczkę tej próżni, jaką wyjątkowe okoliczności zrzędziły.

W jednej z bogatych rodzin tutejszych panna wychodzi za mąż. I zgadnijcie gdzie się szyje wyprawa? Oto w Paryżu. Posłano już tam tysiące, tysiące jeszcze pójdą. Modniarki paryżkie będą miały za co świetniejszymi wystawami przyozdabiać swoje sklepy... A u nas... biada wszędzie, aż serce się kraje. Te tysiące oszczędziłyby tu może wiele głodu i trwogi o jutro.

Ale inaczej się stało.

Dowodzi to że miałem słusność chwalić kobiety nasze. Taki wyjątek, przez to samo że bije w oczy, dowodzi właśnie zasługi ogółu. Szkoda tylko że te plamy istnieją na słońcu naszym. Niechby już całkiem przeniosły się do Paryża, to astronomowie tameczni dogodniej mogliby je zbadać.

PRZEGLĄD

POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

10 lipca.

Ważne wypadki zaszły na Madagaskarze. Jak wiadomo, młody król tej odległej wyspy, Radama II, za pośrednictwem osiadłego tam Francuza Lamberta, zbliżył się z Francją, celem rozkrzewienia w swém państwie oświaty europejskiej. Otóż stronnictwo zachowawcze, nieprzychylnie tym zabiegom, dopuściło się zbrodni na osobie samego Radamy i wszystkich jego ministrów i zwolenników. Dwadzieścia i ośm osób padło ofiarą tego niecnego zamachu, w tej liczbie i Laford syn konsula francuzkiego. Rozruchy trwały dni cztery, poczem królowa wdowa Roboda ogłoszoną została władczynią pod imieniem Rasoahery, czyli Wszechpotężnej. Monitor utrzymuje, że królowa ma zamiar utrzymać traktaty zawarte z Europejczykami, ale wątpić należy aby przypuszczenie to mogło być uzasadnionem. Tém mniej jeszcze wierzymy podejrzeniom rzuconym przez niektóre dzienniki francuzkie przeciw Anglikom o intrygi, wiadomo bowiem, że niedawen Anglik, jak depesze donoszą, szukał w konsulacie francuzkim schronienia. Bądź co bądź, wypadek to bardzo ważny dla rządu francuzkiego, i kto wie czy nie wypadnie zbrojnie interweniować na Madagaskarze. Z Meksyku nowin niewiele. Generał Bazaine z 9000 Francuzów i Marquez z 6000 krajowców, dwoma drogami zdążają ku stolicy. Na przekorę dziennikom europejskim amerykańskie twierdzą, że Juarez ani myśli o opuszczeniu Meksyku, że postanowił bronić się do upadłego, a nawet w razie ostateczności, zalać całe miasto wodą okolicznych jezior. Generał Forey, w nagrodę zasług położonych w Krymie, w kampanii włoskiej i w Meksyku, mianowany został marszałkiem Francji. Zapewniają, że cesarz napisał list do marszałka, w którym upoważnia go do opuszczenia Meksyku w każdej chwili, według swęj woli, pod warunkiem zdania dowództwa na ręce generała Bazaine. Ten ostatni otrzymał wielką wstęgę

legii honorowej. Cesarz Napoleon udaje się w tych dniach do Vichy. Księżę Napoleon z księżną Klotyldą wracają z podróży wschodniej do Francji.

Zamiar cesarza Napoleona uznania niepodległości południowych stanów amerykańskich, wywołał żywe w Anglii rozprawy. P. Roebuck, który wraz z p. Lindsay, otrzymał posłuchanie u cesarza w Fontainebleau, opowiedział w izbie gmin szczegóły swęj rozmowy z władzą Francuzów. Według p. Roebuck, cesarz Napoleon polecił swemu posłowi w Londynie zawiadomić rząd angielski o swym zamiarze, ale nie występować formalnie z nową propozycją pośrednictwa, gdyż gabinet londyński, przed niewiadomym czasem, nietylko że nie przyjął pierwszych propozycji francuzkich, ale nadto przesłał je niedyskretnie do Waszyngtonu. Takie oświadczenie Roebucka wywołało odpowiedź gabinetu przez usta podsekretarza p. Layard, który oświadczył, że baron Gros nie wręczył rządowi angielskiemu żadnej propozycji w kwestyi amerykańskiej od listopada r. z. Co się zaś tyczy niedyskretności, p. Layard zbija ten zarzut najkategoryczniej, dowodząc, że depesza francuzka ogłoszona była w Monitorze, zanim rząd angielski otrzymał kopię tego dokumentu, że zatem depesza ta doszła do Waszyngtonu drogą telegraficzną bez żadnego w tém udziału gabinetu. W obec takich twierdzeń, Monitor nie mógł oczywiście dłużej pozostawać bezstronnym widzem sporu i w d. 5 b. m. ogłosił urzędowe objaśnienie w tej sprawie. Pominąwszy drażliwą kwestyą zdradzenia tajemnicy, dziennik urzędowy oświadcza, że cesarz Napoleon nie posle do Anglii nowych propozycji pośrednictwa, ale polecił swemu posłowi zbadać uposobienie rządu angielskiego w tej kwestyi i w razie gdyby gabinet londyński uważał uznanie stanów południowych za konieczne, oświadczyć, że Francya gotowa jest wspólnie z Anglią wystąpić w tej sprawie. Według obiegających pogłosek, lord Russell wystąpi z gabinetu. Następcą jego ma być lord Clarendon. Depesza z Wiednia, z d. 5 lipca, doniosła o nowych zaburzeniach w Grecyi. Rząd ateński, rozkazał aresztować jednego porucznika stronnika Bułgarisá, ale żołnierze tego pułku podnieśli chorągiew buntu i uderzyli na gmach bankowy. Część armii i gwardyi narodowej, wierne władzy, wystąpiły i wszczęła się walka, w której kilkadziesiąt osób poległo; w tej liczbie syn Kanarisa. Nareszcie reprezentanci mocarstw zagranicznych wyjednali dwudniowe zawieszenie broni, ale po upływie tego terminu walka przybrała tak drażliwy charakter, iż zgromadzenie narodowe zmuszone było zmienić całe ministeryum. France utrzymuje, że mocarstwa opiekuńcze przesłały zgromadzeniu narodowemu notę identyczną, w której zapowiadają, iż jeżeli zgromadzenie nie przywróci natychmiast porządku w kraju, to mocarstwa pozostawią je własnemu losowi. Podobne starcia miały miejsce nietylko w Atenach ale i w wielu punktach prowincyi.

Ostatnie depesze otrzymane z Ameryki niesłychanej są wagi. Separatyści tryumfują na całej linii. Grant oblegający Vicksburg kilkakrotnie pobity przez separatystów, cofnął się pod naciskiem armii generała Johnston'a. Drugi dowódca północny Banks przypuścił szturm do Port-Hudson w dniu 15 czerwca, ale pobity na głowę, wrócił z ogromną stratą do swego obozu. Separatyści zamierzają otoczyć go i wziąć do niewoli. Nareszcie Lee pobił północnych pod Mac-Connellsburg w Pensylwanii i ciągnie z silną armią na spotkanie się z Hookerem. Prawdopodobnie losy unii rozstrzygną się pod Harpers-Ferry. (Schles. Ztg. Ind. Bel. Jour. des Deb. France. Constit.)

Ostatnie depesze Paryż 8 lipca. Cesarz wyjechał wczoraj z Fontainebleau do Vichy.

Paryż 7 lipca. Monitor ogłosił raport konsula francuzkiego w Tananarywie (Madagaskar) z d. 15 maja. Powodem rewolucyi była rywalizacja między możnymi a młodemi ludźmi, którzy przy wstąpieniu na tron Radamy II, pochwylili władzę i podniecili króla do czynów nienawistnych ludowi. Oskarżono ich o niesprawiedliwość, niemoralność, przemieszanie. Rezultat sporu wiadomy. (Patrz wyżej). Rada ogłosiła królową Rabodę.

Turyń 6 lipca. Położenie w Atenach nie polepsza się. Admirał Vacca wysadził na ląd wojska dla obrony pałacu legacji włoskiej i swoich krajowców. Stampa potwierdza pomyślny rezultat rekrutacyi w Sycylii. Eskarda angielska złożona z trzech okrętów znowu została przywołaną do Pyreus.

Wiedeń 7 lipca. Król pruski nie opuścił Karlsbadu. Utrzymują że co do spotkania się dwóch monarchów niemieckich, austriackiego i pruskiego, nie ma dotąd urzędowych wiadomości.

MIŁOŚĆ I BASETLA,

wspomnienie z czasów studenckich.

Skręślił

JÓZEF DZIERZKOWSKI.

(Z rysunkami Pillatego.)

Stokroć błogosławione czasy swobody i spokoju, czasy szkolne! czasy pierwszych złudzeń i szczerzej wesołości, za którą darmo gonimy później po salo- nach i ulicach, po teatrach i towarzystwach, a któ- ra wówczas tak lekko, tak nieprzym- szenie przychodzi, tak się żywo pojawia na twarzach, żadną zmarszczką niepoora- nych! Ileż to razy w wieku późniejszym wspominamy sobie te sceny minione, sceny wesela i pustoty, i uśmiech napół wesoły, napół żalostny zabłyśnie na twarzy zaso- pionej człowieka, który wśród zajęć po- ważnych życia ledwie pojąć może, że był kiedyś wesoły, ledwie, zrozumieć potrafi, jakim sposobem wyszło nazawsze źró- dło dawnej wesołości. A co gorzej, że człowiek, to stworzenie pełne przeci- wieństw moralnych, żadnego szczęścia szanować nie umie, więc i te chwile życia szkolnego, póki trwają jeszcze, psuje so- bie żądzą w przyszłość sięgającą.

Ach żeby jutra doczekać to godło całego życia człowieczego. Żeby się raz wąsów doczekać! wzdycha student, dra- piąc się aż do krwi tępą brzytwą. A gdy wąsy przybędą: żeby szkoły skończyć, wzdycha lekkomyślnie.

Wiek szkolny, wiek młody, wiek wio- sny, bogaty we wszystkie pączki, we wszystkie nadzieje i we wszystkie złu- dzenia, cięży każdemu. Dalej i dalej chcemy gonić w borze życia, byle prędzej doczekać się pory owoców, niepomni na to, że to pora jesienna. Precz pączki, precz kwiaty! to nudna przedmo- wa. A gdy przyjdzie ta gorąco upragniona pora owoców, ileż to z nich, gdy je przyciśniemy do spragnio- nych ust, ukaza się jak owe owoce z nad martwe- go morza: pod barwną powłoką czarny popiół!.. A z pierwszym owocem pierwszy zarazem listek o- padnie, a po nim jedno po drugich, aż nareszcie to piękne drzewo, obnażone, odarte, zajęknie w burzy jesienniej nagimi konarami... Wówczas dopiero przy- chodzi żal do serca i da- remna tęsknica! I prze- suwają się, perspektywą czasu i przestrzeni u- piękzone jeszcze, owe sceny szkolne, tak lubie, a niepowrotne. Jakis żal ściśnie za serce, gdy spojrzymy na smutną te- raźniejszość, na rezultata tych cudnych nadziei? Gdzie są owe przyjaźnie, tak olbrzymio zakrojone? Czas i okoliczności po- karliły je w związki obo- jętne; a może nawet zmieniły się w nieprzy- jaźń! Bo ileż to razy współzawodnictwo ży- cia przyjaciela nawet zamieni w śmiertel- nego wroga. Dwaj przy- jaciele, towarzysze szkol- ni, co niegdyś brnąć po uszy w poetycznych mar- zeniach, gonili za idea- łami, dziś gonią za urzę- dem, miejscem intrat- nym, a jeżeli jeden dru- giemu stanie w drodze.. precz z nim!.. pierwsze obowiązki dla siebie i dla swoich! powiada mu zimny rozsądek i chłodne doświadczenie. Takie to myśli czarne biegały mi po głowie w chwili czarnej. A komuż w życiu brakuje na czarnych chwilach? Szczęśliwy komu się przynajmniej chwile jasne i ciemne mieniąją ka- lendarzowym porządkiem, jak dzień i noc! Z my- śli w myśli przechodząc, zacząłem sobie przypo- minać owe wszystkie drobnostki sceny życia stu- denckiego. I mimowolnie uśmiechnąłem się. I coraz nowe pamiątki ożywiały się w myśli mojej. Nagle głośnym parsknąłem śmiechem, ale tak szczerym, jak za dawnych dziecinnych czasów, gdy jeden dru-

giemu nie mógł minuty patrzeć oko w oko, by się głośno nie rozśmiać. Jakże nie miałem się śmiać, przypo- mniawszy sobie walkę jaką odbyłem, będąc studen- tem, między własnym sercem a uchem? I to nie są żarty, nie żadna przenośnia! Serce walczyło na- prawdę z uchem.

— A kto zwyciężył? pytasz mnie, ciekawy czytel- niku.

— Zgadnij!.. ja nie powiem aż przy końcu, a więc przeczytaj cierpliwie tych kartek kilka. To tylko je-



szcze do wstępu dodam, że od lat najmłodszych miałem serce i ucho nader drażliwe. Serce miało pociąg do kobiety, ucho do muzyki. Serce było kochliwe, a ucho muzykalne.

— A jakże teraz? spytasz mnie, moja najmłodsza i najśliczniejsza czytelniczko.

— Teraz... albo ja wiem!.. To wiem tylko, że niemało kochał i niemało cudnych i nudnych na- słuchał się muzyk.

dziej prochowni bywa najczęściej skład samych fajer- werkowych figłów: gdy iskra padnie, wiele powsta- je wrzasku, trochę światła, spłonie nieco rac i ognia bengalskiego, ale niema niebezpieczeństwa. Mieszkalem zaś, mniejsza że w rynku, bo to już po latach trzy- dziesiętu nikogo na ślad nie naprowadzi, ale co ważniej- sza, mieszkalem na pierwszym piętrze, a okno mego pokoiku wychodziło na owe tylne ganki, co w każ- dym kamienicy ciągną się wzdłuż dziedzińca. Pewne- go tedy poranku siedziałem w oknie, przez które do

mego pokoiku wchodziło powietrze czer- cowe, przepuszczane przez alembik dzie- dzińcowy, co mu woni pewnie nie do- dawało. Ja też nie siedziałem w oknie ażeby odetchnąć świeżym powietrzem, ale jako słuchacz logiki uczyłem się lul- kę kurzyć i najzwyczajiej puszczałem za okno dymy tytoniowe. Niemała to była rzecz! bo chciałem się na gwałt przyzwyczaić do tytoniu, mimo srogich nudności i bólu głowy, jakie mi sprawiała palenie lulkki. Ale cóż było robić, kiedy starsi ko- ledzy drwili ze mnie? I długo trwało, za- nim się przyzwyczaiłem. Gdyby tak do rzeczy pozytywnej, wątpię abym miał tyle wytrwałości; ale zato gdym już prze- łamał odrazę i nudności, co to był za tryumf znamienity, gdy w najbliższą nie- dziele u swego kolegi pana Władysława, ogromnymi wąsami obdarzonego, zasia- dłem w gronie drugich kolegów, i bez zakrzuszenia się wysunąłem całą stam- bulkę, puszczając z drugimi na wyciągi potężne kłęby dymu! Z taką nauką było jeszcze połączone, drugie stokroć gorsze niebezpieczeństwo. Aby je wytłumaczyć, muszę jeszcze słów kilka powiedzieć o swoim ówczesnym położeniu społecznym.

Mieszkalem u swego opiekuna, bo rodziców nie miałem. Śnać od dzieciństwa naznaczony byłem palcem fatalizmu, bo czyż jest okropniejszy dla dziecka fatalizm, jak nie znać pieszczącej ręki matki, która tylko jedna po- trafi wygłaszać nietylko łzę z oka, ale i złe myśli z głowy, złe chęci z serca; nie znać oka ojcowskiego, którego spojrzenie napół czule, napół poważne, jest dziecku, chłopięciu, młodzieńcowi prawdziwym świa- tłem, kierującym po pierwszych życia bezdrożach. By- łem więc sierotą! Sieroctwo było fatalizmem mego

żywota i miało mi towa- rzyszyć do grobowej de- ski. Lecz wpadam w ton elegijny. Tak to, gdy się kto przy łysiej gło- wie pokusi opisywać czasy one, gdy mu jesz- cze zielono było w tój głowie. Żywy, roztrze- pany, ledwie kiedy po- myślałem o sieroctwie swoim, chyba gdy spoj- rzałem na jakiś cudo- wny medalik, zawieszo- ny mi przez matkę w ostatniej życia chwili, medalik włożony na dwu- letnie dziecko, na którym spoczęły jej usta poca- lunkiem, błogosławień- stwem i ostatniem tchnieniem.

Miałem więc opiekuna. Był to człowiek prawy, strasznie uczony, zimny i surowy napozór, cho- ciaż w gruncie dobre miał serce. Ale młodego chłopca trzeba trzymać ostro, to było godło ów- czesnego wychowania. Z tego poszło, żeśmy z so- bą w częstych byli wal- kach, w których nieraz głęboki starca rozum ulegał lekkomyślnemu



Przyłożywszy oba bukiety do twarzy, cudownie wyglądała zarumieniona z poza kwiatów.

II.

Ówż tedy, byłem na pierwszym roku filozofii, pół dziecko prawie, chociaż już dumny, bo logik; w ka- peluszu na bakier, z grubą laską w ręku. Do wąsów wzięć miałem pretensyi niż nadziei, ale w sercu czułem zupełną dojrzałość. Byłem gotów odegrać Wer- tera i Abelarda, rozumie się bez smutnego końca któremu ci dwaj bohaterowie ulegli. Już to w mo- jém sercu była prawdziwa prochownia: biada jej przy pierwszej iskrze. To szczęście, że w takiej mło-

frantostwu młodzika. Mój opiekun, starzec sie- demdziesiątki dobiegający, miał dwie kapitalne wa- dy: był nadto uczony i z poza stosu foliałów nie- wiele mógł dostrzedz co się dzieje na świecie prak- tycznym. Lecz druga wada jego była jeszcze okrop- niejza: miał młodą i przystojną żonę. Jakim on spo- sobem przyszedł do tój wady, jakim sposobem wy- lażł z pomiędzy swych pocziwych starych kronik, by do domu wprowadzić taką lekką broszurkę, na- leży to do onych wypadków nieszczęśliwych, które

frantostwu młodzika. Mój opiekun, starzec sie- demdziesiątki dobiegający, miał dwie kapitalne wa- dy: był nadto uczony i z poza stosu foliałów nie- wiele mógł dostrzedz co się dzieje na świecie prak- tycznym. Lecz druga wada jego była jeszcze okrop- niejza: miał młodą i przystojną żonę. Jakim on spo- sobem przyszedł do tój wady, jakim sposobem wy- lażł z pomiędzy swych pocziwych starych kronik, by do domu wprowadzić taką lekką broszurkę, na- leży to do onych wypadków nieszczęśliwych, które

każdemu trafić się mogą. Długoby było o t \acute{e} m rozpowiadać. Ot poprostu, czyliż to się nie trafi złać nogi na gładkiej drodze? alboż to nieraz idącemu spokojnie nie spadnie dachówka lub wazon na nos, Jeden z dowcipnych przyjaci \acute{o} ł mego opiekuna, wyrzekł z tego powodu zdanie bardzo głębokie:

— Każdy musi choć raz w życiu zrobić głupstwo; ale jak człowiek mądry je zrobi, to będzie olbrzymie.

Z panią opiekunową byliśmy jak pies z kotem; nie cierpieliśmy się nawzajem. Ona mi wszystkie możliwe stołki przystawiała u starego meża, bała się bowiem, ażeby stary i bezdzietny opiekun nie zrobił testamentu na korzyść moje. Poprawdzie miała nieco słuszności za sobą, bo juźci \acute{e} s poszła za starego nie dla jego peruki, lecz dla testamentu. Ow \acute{o} z tu juź wracam do ow \acute{e} j lulki z rana palon \acute{e} j. Pomiędzy innymi własnościami swemi pani opiekunowa, urodzona bardzo wysoko i wychowana bardzo szfatuwo, nie mając posagu, miała rozmaite kaprysyki. Jednym z nich był nos tak delikatny, że nie mogła znieść żadnego przykrego zapachu. Zapach bakuniu (a każdy tytuń był u ni \acute{e} j bakuniem) wprawiał ją w mdłości. I rzeczywiście powonienie miała tak subtelne, że nieraz w czwartym siedząc pokoju, zwąchała moje fajkowe próby. Dlatego to wystawiwszy cybuszek za okno, dmuchałem dymek tytuniowy na dziedziniec, i dlatego to... posłuchajcie tylko państwo jak to wszystko łączy się na świecie i najniepodobniejsze skutki wynikają z przyczyn tak do siebie stosownych, jak jaje z prost \acute{e} j kury, do odkrycia Ameryki ze Stanami zjednoczonymi i innymi oddzielić się chcącymi Stanami. Siedzę tedy najspokojniej w oknie, puszczam dymek za dymkiem, a puszczam jak mogę najzgrabniej, to w d \acute{o} ł, to w bok. Nudności się wzmagają, więc próbuję puścić dymek w g \acute{o} rę, i dla odmiany, dla wytchnienia, wodzę okiem za nim po drugim aż na trzecie pi \acute{e} tro. Chciałem jeszcze wyżej aż ku niebu spojrzeć, lecz nagle zatrzymał się wzrok mój. Bo aby użyć klasycznego wyrażenia (a za moich czas \acute{o} w poezja klasyczna była w modzie) ujrzałem niebo na ziemi, to jest właściwie na trzecim pi \acute{e} trze. T \acute{e} m niebem były siwe, iskrzące się oczy w młodej i ładnej twarzyczce, bardzo zgrabnie osadzone, które z ganku trzeciego pi \acute{e} tra spoglądały wprost na mnie z pewnym półśmiechem nieco pustym i drwiącym, spowodowanym zapewne przez widok mojej miny niepospolicie skrzywionej przy fajkowym ćwiczeniu. Ta mina moja nie musiała zma-

drzc \acute{e} c w t \acute{e} j chwili, bo to tylko pamiętam, że zostałem osłupiały w t \acute{e} m samym połozeniu, z oczami w g \acute{o} rę wzniesionymi i gębą otwartą. Puste oczęta jeszcze się żywi \acute{e} j zaiskrzyły, a na okrągłej twarzyczce, koło ustek rumianych, pojawiły się dwa dolki zdradzieckie, które mnie dobily do reszty. Lulka zgasała, twarzyczka młoda z żywymi oczami znikła, usłyszałem tylko lekki i tańczący kroczek po trzecim pi \acute{e} trzym ganku, rzuciłem lulkę w ką i siadłem na krzesle przy oknie. Siadłem zaiste, ale siadłem zakochany!...

III.

Byłem tedy zakochany i to od pierwszego spojrzenia. Wielu filozof \acute{o} w i nie-filozof \acute{o} w dowodzi, że taka miłość od pierwszego rzutu oka powstać nie może. Przekonałem się po sobie że i jedni i drudzy bredzą. Jak gdyby to niemożna bez przygotowania żadnego w jednej chwili zwaryować? Spytajcie lekarzy. A że byłem zakochany, to nawet wątpliwości nie było; sto, nie jeden mam dowód. Zaraz przy obiedzie nie jadłem, choć byłem sownie głodny, ale jako zakochany jeść przecie nie mogłem; natomiast tak wzdychałem pot \acute{e} żnie, że pani opiekunowa zapytała mnie kręcąc noskiem, ażali mnie brzuch nie boli. W szkole przy godzinie pana Kodesza, na tablicy, zamiast trójkąt \acute{o} w, widziałem świecące oczy, a wszystkie hy-

potenazy i katety szczyrzyły się do mnie rumianemi usteczkami. Nareszcie wieczorem pobiegłem do pana Adolfa mego przyjaciela i po wielu tragicznych gestach i uroczystych zakl \acute{e} ciach, pod przysięgą milczenia i pieczęcią tajemnicy zeznałem, że się kocham szalenie i umrę jeżeli nie zyskam wzajemności. Na poparcie tych twierdzeń, gdyśmy poszli do kawiarni, przegrałem dziesięć partyj bilardowych. Twierdzili



Puszczając dymek w g \acute{o} rę, wodziłem za nim okiem.

niekt \acute{o} rzy że ja nie gram w bilard, ale ja to wziąłem za dobrą wr \acute{o} źbę; bo mówią przecie, że kto szczęśliwy w miłości, nieszczęśliwym w grze bywa. Jak tedy sami państwo widzicie, byłem widocznie zakochany.

— C \acute{o} ż dalej robić? to było pytanie waźniejsze od Hamletowskiego.



Musiałem w ścisiku oba kapelusze trzymać w podniesionych do g \acute{o} rę r \acute{e} kach.

Kochałem się, to pewno, równie jak i to że kochałem twarzyczkę ledwie ujrzaną na ganku trzeciego pi \acute{e} trzym. Wi \acute{e} c przedmiot miłości mojej zamieszkiwał trzecie pi \acute{e} tro.

Tu muszę przerwać ciąg swego opowiadania i małeńki wsztukować epizodzik, jeżeli państwo pozwolicie, a nawet choć nie pozwolicie, ja przecie ów epizodzik wsunę; bo juź taki mój nar \acute{o} w powieściar-

ski, tym bowiem sposobem przedłużę swój obrazek na parę kartek druku wi \acute{e} c \acute{e} j i nareszcie mniemam, że ten epizod potrzebny jest do zrozumienia dalszych zdarzeń. Mówiłem że przedmiot moich zapał \acute{o} w miłosnych na trzecim pi \acute{e} trze mieszkał. Pi \acute{e} rwsz \acute{e} m wi \acute{e} c było dla mnie, pi \acute{e} rwszopiętrowego panicza, zadaniem, poznać się z trzecio pi \acute{e} tr \acute{o} wą mieszkanką. Zadanie to, w czasach w których byłem studentem, nie było tak łatwe jak się zdaje, z mojej przynajmniej strony, bo wówczas pi \acute{e} rwsze pi \acute{e} tro od trzeciego było wi \acute{e} c \acute{e} j oddalone niźli dzisiaj, chociaż i dzisiaj ta odległość jest niemala.

Zaprawdę, droga dzieląca pi \acute{e} rwsze pi \acute{e} tro od trzeciego jest niedaleka, jednakże toby się chciał nad t \acute{e} m zastanowić, przyznałby że najczęściej panuje największe przeciwieństwo i ogromny przedział między temi dwoma choć jednego domu pi \acute{e} trami. Zastosowawszy to przeciwieństwo powierzchni, chęci i myśli, do skali odległości fizycznej, okazałoby się dopi \acute{e} ro, że ta przestrzeń jest tak długa, iż często trzeba wi \acute{e} kszej części życia, niemalych zdarzeń i długich przemian losu, aby się ciałem i duszą przenieść z życia pi \acute{e} rwszopiętrowego do trzecio pi \acute{e} tr \acute{o} wego i nawzajem. Gdyby tu było miejsce na długą rozprawę, odległość ta dałaby się przedstawić w dramatycznym świetle, a droga oddzielająca te dwa w życiu towarzyskim tak dobitnie odgraniczone miejsca, odsłoniłaby nam nieskończony szereg najtragiczniejszych i najkomiczniejszych wydarzeń życia ludzkiego. Droga ta jest zawsze zaludniona i w ruchu bez końca, bo wszyscy ciałami siłami i całą żądzą starają się przenieść z trzeciego pi \acute{e} tra na pi \acute{e} rwsze i wszyscy walczą z kaprysami losu, dziwniejszemi od kaprysów młodej i ładnej kobiety, aby z pi \acute{e} rwszego pi \acute{e} tra nie dostać się na trzecie. Na t \acute{e} j drodze mieszczą się najsprytniejsze człowieka zabiegi, najciekawsze powieści przypadkowych zakwilań, wszystkie ludzkie poświęcenia i ludzkie rozkosze, cnoty i występki; bo ta droga dzieli zbyt od nędzy, polor świata od jego chropowatości, przesylenie od żądy; a wieleż to jeszcze innych uczuć w najrozmaitszych odcieniach nieskończonych, które na każdym niemal schodku pojawiają się inaczej tym co patrzą z g \acute{o} rę i tym co patrzą z d \acute{o} łu! Ileż to razy szalona wesołość pi \acute{e} rwszego pi \acute{e} tra, gdy sięgać się zdaje smutnej i pracowitej nędzy trzeciego pi \acute{e} tra, karze się sama przecuciem lub pamiętką występkę, brakiem wszelkiej nadziei, a zazdrosczące trzecie pi \acute{e} tro, wśród rozpaczliwej pracy r \acute{e} k i umysłów, pocie-

sza się najbogatszym człowieczym skarbem, skarbem tych wszystkich nadziei o barwach tysiącu, które t \acute{e} m jaśniej świecą, im ciemniejsze jest tło rozpacz.

Jeszcze wiele pięknego mam w myśli, cobym mógł pomieścić na schodach oddzielających mnie od bóstwa mego, ale widząc waszą szanowni czytelnicy niecierpliwość, kończę juź ten epizod tą uwagą, że mimo studenckiej śmiałości, której mi nie brakowało, nie wiedziałem jak się dostać na trzecie pi \acute{e} tro, pod jakim pozorem wł \acute{e} zc aż pod dach. W owym czasie, o którym piszę, paniczowi się zdawało, że pod dachem nie ludzie mieszka.

Mijały tedy dnie całe, a mój romans odbywał się na niemo. Ja siedziałem w oknie z oczami pokornie wzniesionymi; ona stała na ganku, a oczy j \acute{e} j sypały pozerce promienie w d \acute{o} ł na mnie. Rozmawialiśmy oczami, o

których wymowie juź dziś w powieści niema żadnej wątpliwości. Znajomość szła tym sposobem dosyć prędko; juź ja sam nie wiem, co ja tam swemi oczami mówiłem, ale to wiem, że w j \acute{e} j oczach czytałem, co tylko może podyktować najzapał \acute{e} nsza miłość własna zakochanego. Rozmowa ta była pełna uroku, cud \acute{o} w i tych wszystkich eterycznych rozkoszy, w których się pływa w młodym wieku przy

pięrczym zakochaniu się. Jest to morze bezgraniczne, niezgłębione, bez ładu, bez portu, na którym pływającemu zdradliwa fata-morgana pokazuje się tylko czasem w kształcie niebieskich migdałów. Jedyńą rzeczywistością tej epoki mego romansu, było czasem pojawienie się przez szczeble gankowe sukienki, lub koniuszeczka nóżki, które to powawy rzuciły mnie wprost w siódme niebo, w raj Mahometa, w marzenia opiatyczne.

Tak dłużej trwać nie mogło. Lecz cóż robić? Serce pękało ze zbytku miłości, a głowa pękała z natłoku myśli. Aż nareszcie trzecie piętro przyszło w pomoc pierwszemu piętru. Nizka, grubopłaska kucharka była pierwszą pośredniczką. Przyszła, dygnęła, uśmiechnęła się i w imieniu pani i paniąki prosiła, czy panicz młody niema jakiej ładnej książki. Pretekst był dobrze wymyślony, bo ja nieraz siadając w oknie do swoich kontemplacji, brałem dla pewnego kontenansu książkę do ręki. Niedoświadczony porywałem już jakiegos Waltera Scota, by go postać, ale mędrsza odemnie kucharka już była znikła.

— A więc sam zaniosę! zaświtało mi dopiero w głowie.

Co to było bicia serca, o mój Boże!... co czesania głowy!.. a co min cierpliwemu zwierciadłu pokazujących!.. Nawet ustęp Byrona jakiś ognisty przeczytałem i poprawiwszy olbrzymi fontaż przy chustce na szyi, poszedłem z Walterem Scotem pod pachę.

— Sic itur ad astra, pomyślałem idąc na schody. Jak się wydałem, tego już nie wiem. To tylko z pierwszjej chwili pamiętam, że się zarumieniłem po uszy. A moja ukochana miała uśmiech anioła, a sukienkę w małe kratki różowe. A oczy.. oczy!..

IV.

Tu z kolei i obowiązku powieściarskiego muszę państwa oznajomić z trzecim piętrem. Mieszkała na niem w dwóch pokoikach, na tył domu wychodzących, pani kapitanowa, wdowa z czworgiem dzieci. Córka ubogiego dzierżawcy, poszła za oficera, który prócz małej pensji, przyniósł małżonce w darze resztki zdrowia i niepospolitej niegdyś piękności. Doczekał się kapitanostwa, które w sam czas przyszło, aby resztę suchot wykaszła jako kapitan. Nieboszczyk tylko z żoną żył właśnie, ile było potrzeba, aby jej zostawić czworo dzieci małych i szczupłą pensyjkę na najkonieczniejsze potrzeby życia. Kapitanowa, która idąc za mąż zbliżała się już do wieku starzej panny, miała wszystkie gderliwe własności starych pańien; łatwo pojąć, że po zameżciu rozwijały się te własności w coraz większą kłótlivość. Ta wreszcie stała się zwyczajem, bo jak koń w młynie tłuc się musiała codziennie w jednym kółku o wszystkie drobnostki codziennie wracające. Od rana do obiadu kłóciła się o zmniejszenie wydatku obiadowego, a całe popołudnie narzekała na zbytek wydatków. Jedną tylko miała rozrywkę: wielką namiętność muzykalną. Zmarły kapitan był wielkim melomanem; sam nawet grał na wszystkich niemal instrumentach. Kapitanowa tak się za życia wcieliła w to jego zamiłowanie, iż po śmierci nawet jego zdawało się jej niepodobieństwem żyć bez koncertów amatorskich, które, jak za życia męża, odbywały się u niej przez jesień i zimę raz na tydzień najregularniej. Sama niewiele się znała na muzyce. A przecież ta melomania, mimo swojej śmieszności i niejednej komicznej strony, miała jedną stronę prawdziwie rozczulającą: to jej zamiłowanie w muzyce było najsilniejszym dowodem jej przywiązania do męża, była to dla niej pamiątka pozostała po szczerze ukochanym.

Córki były trzy: Tyncia, Lincia i Mincia, to jest: Klementyna, Karolina i Wilhelmina; najmłodszy był syn Peppi, alias Józio, na którego wszakże ledwie z góry spoglądałem, był bowiem dopiero w gramatyce, w której tak zagrzął, że przez trzy lata nie mógł się z jedną wydobyc klasy; a ja przecie byłem słuchaczem filozofii, logikiem. Lincia i Mincia były chude, blade i wiecznie głodne podlotki, strasznie ciekawe, podsłuchujące, pełne nadziei, które nieraz przeklinałem w duszy, gdy mi najprozaiczniej wlażyły w poetyczno-romantyczne pogadanki z Tyncią. Klementyna tedy była owem bóstwem mojem, które mi z trzeciego piętra żar miłosny rzuciło w serce. Że była piękna, czyliż nawet wątpić można?

Jakkolwiek opisów twarzy bohaterki powieściowych jest takie mnóstwo, że już nie nowego w tej mierze wyczytać nie można, przecie muszę choć kilka słowami opisać te wdzięki co mnie oczarowały. Tyncia nie miała regularnych rysów, ale miała na twarzy tę świeżość pierwszjej młodości, która zawsze jest piękna. Twarz jej okrągła i biała, z noskiem trochę zadartym i żywymi biegającymi oczyma, choć nie klasycznymi, bo piwnej barwy, z ustami zanadto może sz-

rokiemi, ale zato otwartemi często do wesołego uśmiechu i do wyszczerzania białych ząbków; włosy długie i gęste, środkujące między odcieniem jasnym a ciemnym; postać wysmukła i giętka, wzrost piękny, a przytęm na twarzy i w spojrzeniu, w uśmiechu i w każdym ruchu odbijająca naiwną chęć podobańca się,—tworzyły całość powabną.

Była nareszcie piękna dla mnie, bom się w niej zakochałem po uszy, i jak mi się wówczas zdawało, na całe życie. Jak gdyby można cokolwiek w życiu mierzyć na dni lub godziny nawet. Szczęśliwa naiwności młodego wieku! tobie wszystko podobnym się wydaje.

Przyjęty zostałem przez córkę z uśmiechem tak lubym, a spojrzeniem tak figlarnym, że mnie odrazu zawojowała; a przez matkę z nadzwyczajną grzecznością, z uprzedzeniem nawet. Ja to przypisywałem oczywiście własnym zaletom, bo daleki byłem wówczas od tej myśli, że dla trzeciopiętrowych mieszkanek pierwszopiętrowy panicz zawsze pożądanym jest gościem. Zaczęły się tedy dla mnie dni tkane złotem i jedwabiem; niebo, jak mówi niemieckie przysłowie, zapchane było grającymi skrzypkami; zanurzyłem się po uszy w morzu ideałowym. Tyncia była dobrą dzieckiem, bo nawet nie ziewała gdy jej te wszystkie niebiesko-migdałowe plótem androny, chociaż sama do rozmowy niebardzo zdolna, wołała by skakać i pustosować. To jeszcze szczęście było, że i mnie nieraz brakowało konceptu, więc sztukowałem westchnieniami, którymi urozmaicałem milczenie.

Do wyraźnego oświadczenia przystąpić ani śmiałem, kończąc zawsze na ogólnikach. Jednym słowem był to romans prawdziwie studencki. Szesnastoletnia Klementyna była w tej mierze daleko starszą odemnie i nieraz nie mogłem pojąć jej niecierpliwosci, mimowolnie okazywanej. Później dopiero zrozumiałem, gdy mnie doświadczenie z niejednego obdarło złudzenia, że i matka i córki widziały we mnie mającego panicza, za jakiego w kamienicy uchodziłem, który zdawał się dość szalony, aby się dał z kochanka na mekła wykirować. I dlatego matka niby nie przeszkadzała naszym rozmowom, i zdawała się nie uważać na moje ogniste spojrzenia, na westchnienia strzeliste i na częste całowanie rączek. Do tego jednego ośmieliłem się, i te rączki zdawały mi się najpiękniejsze; całowałem je bez końca, choć nieraz gdy wyszła do mnie z kuchni, były na nich ślady i woń kuchennych preparatów.

V.

Ja wówczas nie widziałem i nie rozumiałem i zdawało mi się, że szczęśliwszym już być nie mogę. Biegając po dwa razy na dzień na 3cie piętro, robiłem to oczywiście bez wiedzy opiekuna, który mnie jeszcze za dziecko uważał; ale opiekunowa, nie zajęta książkami jak jej mąż, dorozumiewała się czegoś, o ile mogłem zrozumieć z jej słów dwuznacznych i dwuznacznego uśmiechu. Nie naskarzyła na mnie wszakże przed mężem, snadź grzechy miłosne znajdowały u niej pobłażanie; to była jej słaba czyli raczej dobra strona.

Ale każde szczęście jest względne, każda piękna strona ma swoją stronę odwrotną. I ja to szczęście kochania się, wzdychania, pleceni miłosnych andronów i całowania rąk, opłacałem najzupełniejszą niewolą. Rzeczywiście odkąd zacząłem biegać na trzecie piętro, zaprzedałem się w niewolę. Wysługiwać się wszystkim musiałem. Wszyscy, od matki zacząwszy, wysyłali mnie na wszystkie strony miasta za sprawunkami najrozmaitszemi, na które jakoś zawsze nie dawano pieniędzy. Żeby jeszcze tylko matka i moja bohdanka! chętnie dla nich biegałem po sklepach za rozmaitemi sprawunkami. Śmiać mi się chce, gdy sobie przypomnę, ile to czasem razy zbiegać z trzeciego piętra i wbiegać na nie musiałem, przynosząc to jakieś szpilki, to nici, to tasienki, to paciorki i Bóg wie co jeszcze.

Ale Lincia i Mincia, zmiarkowawszy moje usłużne usposobienie, wzięły się do mnie i musiałem je codziennie opychać ciasteczkami, bo apetyt miały fenomenalny.

Kucharka nie zostawała także w tyle. Pochlebając mojej miłości własnej, wyprowadziła mnie zawsze w pole. I nieraz musiałem jej przynieść do szparagi, to owoce, które zawsze jakoś kupować zapomniała, i jakoś nie dawała na nie pieniędzy.

— Panna Klementyna cały dzień mówi o panu i wzdycha.. i wzdycha.. ach jak wzdycha! powtarzała Hanusia. Patrz pan jak mi się zdarła ta chustka na głowie, dodała mimochodem.

I mądry logik gonił na Zarwanicę po jaskrawą chustkę.

Przyszło nawet do tego, że ów urwis Józio, trzyletni gramatyk, czy może syntaksysta, kazał mi kupować jakieś papiery kolorowe i tekturki, z których

kleił rozmaite helmy, tarcze i inne oznaki mundurów, bo był nadzwyczajnie rycersko usposobiony.

A spacerki niedzielne i świąteczne, to była pańszczyzna. Trzeba było wieść całą rodzinę to do Żelaznej wody, to do Zofiówki, to do Pohulanki i żywić całe towarzystwo. To jeszcze szczęście, że ten mój romans studencki na tanie przypadł czas.

A książki do czytania! Tyncia była zapamiętałą miłośnicą pocziwego Lafontena, którego dzisiaj nikt nie czyta, a który mojej bohdance przypadł do smaku niepospolicie, bo romansista ten wydobywał wiecznie swoje bohaterki z chat ubogich, i przeprowadziwszy je przez rozmaite doświadczenia romantyczne, wprowadzał je w końcu tryumfalnie do pałacu uszczęśliwionego kochanka. Pakami nosiłem na trzecie piętro wszystkie romanse o rycerzach i duchach, które znowu matka passyami lubiła.

Albo bukiety. Moja Tyncia kochała się szalenie w kwiatach. Te bukiety dały mi się tak we znaki, że długi czas potem nie mogłem patrzeć na kwiaty. Biegałem po całych dniach za bukietami; a ile nieraz musiałem użyć przemysłu, ażeby je dostarczać, bo jako studentowi, skąpego mającemu opiekuna, nieraz zbywało na pieniądzech. To szczęście że ówczesna moda kazała nosić duże kapelusze. Ilekroć chodząc do ogrodu Chołoniewskiego z moim opiekunem, drżałem ze strachu, gdy mi się wymykał z ogrodu, pełny kapeluszą mając kradzionych gwóźdźków, lewkonij, balsaminek, rezety i innego kwiecica. A mąż zdybie ogrodnik, który się już na mnie zaczynał krzywym patrzeć okiem, albo jaki znajomy, jakże się tu kłaniać, aby się z kapelusza nie posypały kwiaty jak z roga obfitości? Ilekroć to trzeba było przemysłu, aby te wszystkie pokryć wydatki! Do rozpaczki mi nieraz przychodziło, bo ambicyja nie pozwalała przyznać się do suchot kieszonkowych, które czasem przychodziły do stanu prawdziwie śmiertelnego. Po raz pierwszy poznałem się z długami i lichwą.

Z takich to drobnych, ale dotkliwych cierpień składało się szczęście najszczęśliwszego kochanka. Ale czy jestem kochany? czy te wszystkie zabiegi nie są daremne? pytałem nieraz sam siebie, gdy zrozpaczony, zmęczony i goły przychodziłem do domu i potężną odebrałem burę od opiekuna zato, że się nic nie uczyłem. Postanowiłem tedy wyznać miłość swoją. I długo biegałem na górę, codziennie z niezmiennym postanowieniem, i codziennie nieśmiałość zamykała mi usta.

Aż nareszcie jednego dnia, dostawszydwa bukiety olbrzymiego rozmiaru, pobiegłem rano na trzecie piętro, wiedząc że o tej porze młodsze pokolenie w szkole, a matka w kuchni. Od Hanusi idącej z wodą dowiedziałem się, że panna sama w pokoju. Wpadam, przysięgłszy sobie w duszy, że nie odejdę, nie uczyniwszy wprzód wyznania.

— Jakie to śliczne bukiety! zawołała Tyncia uśmiechając się do mnie słodko i zalotnie. To dla mnie?.. dodała i wyciągnęła obie ręce ku mnie.

— Dla pani.. wyrzekłem zarumieniony po uszy, i nie wiedziałem co robić, co mówić, a bukiety cisnęły do bijącego serca.

— Dajże pan!.. rzekła znowu dziewczyna z niecierpliwą pustotą, cóż panu takiego?..

— Mnie, mnie, wyjąknąłem i bez dalszego namysłu padłem na oba kolana, podając jej oba bukiety. Ja kocham panią! kocham! ach kocham nad życie! dodałem patrząc w jej piwne oczy, jakby w obraz cudowny.

— Ach! krzyknęła.. Panie mnie tak przestraszył. I przyłożywszy oba bukiety do twarzy, cudownie wyglądała zarumieniona z poza kwiatów.

— Kocham, powtórzyłem klęcząc ciągle.

Pan mnie kochasz? odpowiedziała w pół głośno i z poza kwiatów tak na mnie spojrzęła promieniście, że już dłużej wytrzymać nie mogłem.

Skoczyłem, i już nie wiem jak się to stało, że wcisnąłem twarz pomiędzy dwa bukiety i... pocałowałem, podobno rumiańsze i piękniejsze od kwiatów usteczka. Zdawało mi się przez chwilę, że już w raju, gdy nagle otworzyły się drzwi i weszła kapitanowa.

— Tynciu, idź robić strudla, rzekła do córki. Córka wyszła. Ja stałem jak winowajca.

— Pan kochasz moją Tyncię? mówiła do mnie. Nie dziwię się panu, bo to bardzo ładna i bardzo dobra dziewczyna. Będzie z niej najlepsza żona; ona ma moje serce, ona zupełnie do mnie podobna. Ale pan taki młody jesteście!.. Jeszcze i mamy czas... staraj się pan jej podobać.. zobaczymy później.

Słowa kapitanowej padały dęszcem zimnym na mnie. Sam nie wiem dlaczego, ale czułem się rozczarowanym. Po raz pierwszy uczulem nieznosny smród cybuli przysmażanej, co wchodziło do pokoju z kuchni.

— Dobrze żeś pan przyszedł, mówiła dalej najspokojniej. Jutro bal w salach ogrodu jezuickiego, dla księcia F.. Możebyś pan dostał dla nas bilety, które jak słyszałam rozdają na galeryę.

— Dobrze odpowiedziałem machinalnie.

— Ale bądźcie i Genowefa z nami, nie zapomnijcie pan.

— Dobrze, powtórzyłem i wybiegłem jak oparzony. Przyszedłszy do swego pokoju, czułem zarazem i rozpac i rozczerowanie. Nie wiedziałem co, ale czułem, że coś się zmieniło w sercu mojem. Rzeczywistość po raz pierwszy wyszczęrzyła do mnie swoje chuda i brzydką twarz. Romantyczne gmachy moje zaczęły się łamać, przeistaczać w jakieś proste, niekształtne zarysy, jakby jakiego gospodarskiego budynku. Zły byłem na siebie, na świat, na ludzi, a nawet czasem i na słiczną Tyncię.

VI.

Przez przyzwyczajenie pobiegłem za żadanymi biletami. Dostałem je i nazajutrz ubrany jaknajstaranniej, w trzewikach i fraku dla większej parady, poszedłem na trzecie piętro. Zastałem wszystkich gotowych; Klementyna spojrziała na mnie surowo i z miną obrażoną, kiwnęła głową z lekka i odwróciwszy się odemnie, zaczęła rozmawiać z cicią Genowefą.

Ciocia Genowefa, którą już znałem, była to panna mocno stara, mocniej jeszcze brzydka, a najmocniej tłusta. Nie cierpiałem jej, bo wiele razy przyszła, zawsze szczęrzyła do mnie oczy ogromne, cybulowate, i zęby, czyli raczej czarne onych grzyzy. Nieraz nawet uważałem jak szyderczo patrzyła na nasze z Tyncią rozmowy i jakieś odwieczne rozpowiadała anegdotki o niestałości młodych ludzi, o zdradliwej płci męskiej i inne tego rodzaju dykteryjki, które tém więcej mnie gniewały, że pewien byłem, iż jej w życiu nikt zdradzić się nie pokusił.

Zaczęli się wszyscy zbierać, a ja, korzystając z chwili, zbliżyłem się do Klementyny.

— Tynciu! rzekłem jak mogłem najczuliej.

— Proszę mi dać pokój. Podaj pan rękę cici Genowefie.

— Tego jeszcze nie stało—pomyślałem.

To przyjęcie zraziło mnie okropnie. Jeżeli to była strategia z jej strony, była to strategia nadzwyczaj niezgrabna.

Wyruszyliśmy nareszcie do jezuickiego ogrodu. Ten dzień pozostał mi pamiętny. Niedosyć że musiałem prowadzić pannę Genowefę, która całym ciężarem swoim ułożyła mi się na rękę, ale po raz pierwszy uczułem wstyd defilować po mieście w takim towarzystwie. Prawda że ubiory tych pań były okropne, takimi przynajmniej mnie się wydawały. Mianowicie panna Genowefa ubrana była jak istne czupiradło. Do sukni jasno-zielonej, wpakowała kukardy pomarańczowe i przepaskę paśową; szalik był różowy, a we włosach, nadzwyczaj rzadkich, pozapinała wstążki jakieś pstre i jakieś szpilki jasno-niebieskie i jakiś kwiatków pęk ogromny i olbrzymi grzebień ze złoceniemi brzegami. Na dobitkę wszystkiego, jeden z moich wczorajszych bukietów przypięła do gorsu. Tak byłem zły, że się nawet nie zastanowiłem nad tém, że tak matka jak i córki zbyt były ubogie, a żeby się mogły lepij i modniej ustroić. Był to dla mnie prawdziwie dzień feralny, i jak dobrze powiada przysłowie, jedno nieszczęście nigdy samo nie przychodzi. Gdyśmy się wdrapali nareszcie na galeryę sali balowej i moje panie z wielką ulokowały się bięda, ja musiałem zostać w tyle z dwoma kapelusami, które mi dały matka i Klementyna do trzymania, dawszy w dodatku przestroję, abym ich nie pojął. Łatwo pojąć jakie było położenie moje, bo w ścisłości który był na galeryi, musiałem oba kapelusze trzymać w podniesionych do góry rękach.

— Patrz pan! zawołała nagle Klementyna i usunęła się nieco na bok. Spojrzałem, podniósłszy rękę z kapelusami jeszcze wyżej, i zdążyłem się oko w oko z moim opiekunem, który chodząc po sali, spojrział przypadkiem w górę. Zdumiałem wpatrzył oczy, spostrzegłszy twarz moją pociesznie z pomiędzy dwóch kobiecych kapeluszy wyglądającą. Cofnąłem się co prędzej, zmieszany i zarumieniony, przewidując burzę niepospolitą w domu i nudną indagacyą, która mnie czekała. A tu znowu z tyłu odzywały się niechętnie głosy:

— Schowajże pan kapelusze, bo my nie nie widzimy.

— Czy ten pan wywiesił te kapelusze na sprzedaż?

Ploniłem się ze wstydu i przeklinałem w duszy i siebie i cały swój romans trzypiętrowy.

Wszystko się na świecie skończyć musi, skończyły się więc i moje męczarnie. Ale się dzień feralny nie skończył jeszcze. Wychodzimy, a tu deszczyk pada na piękne. Ja za fiakrem, fiakra nigdzie znaleźć nie mo-

na było, bo fiakry są zwykle na podoręczu gdy ich niepotrzeba. Z ciężką biędą wydarłszy jakimś koledze parasol, zaprowadziłem swoje towarzyski do domu.

Skończyło się, pomyślałem, oddychając wolniej. Nie wiedziałem co mnie czeka jeszcze.

— Pan będzie łaskaw cicię odprowadzić do domu, ozwała się kapitanowa.

Chciałem odmówić, lecz Tyncia spojrziała na mnie słodziutko. Zdrajczyń, znała moją słabość.

— Gdzie pani mieszka? spytałem panny Genowefy.

— Na Łyczakowie, odpowiedziała czule, spoglądając na mnie.

Westchnąłem boleśnie, lecz rady nie było. Porywam więc ten nowy swój krzyż, a ciężki, potężnie ciężki był ten krzyż. Dęszczę leje jak z cebra, chcę pośpieszyć, ale gdzie tam. Panna Genowefa nie może iść prędko, jęczy tylko nad swoją zieloną suknią i coraz czuliej przemawia do mnie:

— Jak mi miło, jak przyjemnie, szepce do mnie, opierając się coraz mocniej na moją rękę. Trzymaj pan dobrze parasol, ach moje fontazie... jaki pan dobry... do śmierci będę panu wdzięczną. Pan mi przypomina z jednego młodego człowieka, który... Ach moje trzewiki!

Tu westchnęła, nie wiem czy za trzewikami, czy za owym młodym panem.

— Już i Łyczaków, gdzież pani mieszka?

— Jeszcze dalej trochę, odpowiedziała słodziutko.

I rzeczywiście mieszkała o kilkadziesiąt kroków od cementarza.

— O czemż nie tych kilkadziesiąt kroków dalej, pomyślałem pełen złości.

(Dokończenie nastąpi).

DOMY DLA RZEMIEŚLNİKÓW I WYROBNIKÓW

W WARSZAWIE.

We wszystkich prawie znaczniejszych stolicach Europy od kilku lat już istnieją domy dla klasy rzemieślniczej, przez stowarzyszenia zamożnych obywateli budowane. Wszędzie uznano znakomite korzyści, jakie klasa ta ciężko pracująca osiąga, żyjąc w mieszkaniach zdrowych, dobrze urządzonych i tanich. Tam gdzie rząd przychodzi z pomocą, gdzie, jak w Londynie, królowa i najznakomitsi lordowie należą do stowarzyszenia, tam ono na wielką skalę rozwija swoją działalność, a w wybudowanych przez siebie domach, zaprowadza instytucje, które ochrania znaczną część ludności od nędzy moralnej i materialnej.

Zawiązana u nas na początku zeszłego roku spółka dwudziestu kilku obywateli, z kapitałem niespełna półmilionowym, pierwsze dopiero na tém polu stawia kroki, a jednakże dziś już widoczne są rezultaty jej znacznych usiłowań.

Urządzenie w naszej stolicy podobnego zakładu jak w Mulhouse, nie dałoby się dziś jeszcze zaprowadzić. Kwestya mieszkań klasy wyrobniczej, w ścisłym związku z kwestyą jej moralności i oświaty, dopiero od niedawnego bardzo czasu stanęła na porządku dziennym, a stanęła na téj słusznej zasadzie, iż bogatsi przychodzić powinni z pomocą uboższymi nie drogą prostą jałmużny, ale drogą dobroczynnych instytucyj.

Dla podniesienia tej części ludności do stanowiska godności obywatelskiej, między innymi środkami, posłużyć mogą i następujące:

1) Ułatwianie pracującym a ubogim rodzinom rzemieślniczym i wyrobniczym najmowania tanich i zdrowych mieszkań.

2) Urządzanie mieszkań w ten sposób, iżby tylko jedna rodzina w każdym mieszkaniu miejsce dla siebie znaleźć mogła.

3) Wprowadzanie wszelkich udogodnień, mających na celu zaoszczędzenie pracy i czasu w koniecznych codziennych zajęciach gospodarskich.

Te trzy główne myśli na dzisiaj stowarzyszenie nasze starało się rozwinąć. To też warszawskie domy dla rzemieślników, jakkolwiek nie dorównują londyńskim, berlińskim i instytucyj w Mulhouse, w skromniejszym jednak zakresie, założeniu swemu co do urządzenia mieszkań w zupełności odpowiadają.

Kto miał sposobność zwidzieć nadwiślańskie lochy, lub staromiejskie poddasza, ciemne, zimne i wilgotne, w których znajdują przytułek najuboższe rodziny wyrobników, w których dla opłacenia wysokiego stosunkowo komornego, przybierają „do spółek“ dwie, trzy i więcej „par“ z małemi i dużemi dziećmi, ten uzna gwałtowną potrzebę zaradzenia złemu, bo zobaczy nie w romansie, lecz w rzeczywistości, jak ojcowie i matki wzrok i siły tracą przy robocie bez światła słonecznego, dzieci umierają z braku powietrza, a całe

rodziny upadają moralnie w takim nagromadzeniu i pomieszaniu różnej płci i różnego wieku.

Wiele jeszcze czasu upłynie, zanim temu złemu stanowczo i bezpowrotnie zaradzić będzie można. Do domów dziś już prawie ukończonych, (1) wkrótce wprowadzi się kilkadziesiąt rodzin, a mieszkania poddaszne i piwniczne przez nie opuszczone, zajmą jeszcze ubożsi, albo ci co nie mają ochoty wejść w nowe dla siebie życie.

Z postępem oświaty w najniższej dziś, pod względem moralnym i intelektualnym, warstwie społeczeństwa, obudzi się niezawodnie uznanie ważności „życia w rodzinie“, a w ślad za niemi zrodzi się potrzeba zmiany w dotychczasowym systemacie mieszkań. Odgadnięcie tych przyszłych potrzeb i stawienie ich już dziś na oczy klasie wyrobniczej, niewątpliwie przyspieszy jej lepszą chwilę i zupełnie zmienić może stosunki tych ludzi, żyjących z dnia na dzień przy ciężkiej pracy, a niewidzących nigdy jej rezultatów

Jednocześnie i ogólnem rozbudzeniem najważniejszych u nas kwestyj, powzięta została myśl zawiązania spółki, mającej na celu budowanie domów dla rzemieślników i wyrobników w Warszawie. Ułożywszy główne warunki i podpisawszy akt zawiązania tej spółki, stowarzyszeni wybrali z pomiędzy siebie radę zarządzającą (złożoną z 3ch członków i 3ch zastępców) i powierzyli jej zajęcie się wyszukaniem odpowiednich placów, wybór systemu w urządzeniu domów i cały zarząd administracyjny na rok jeden.

Rada, licząca w swém gronie ludzi szczerze filantropijną myślą przejętych, z początkiem lutego r. z. rozpoczęła swe czynności.

Przyjąwszy za zasadę stawianie domów w różnych okolicach miasta, a nie koncentrowanych w jednej miejscowości (cité ouvrière), nabyła dwa place: jeden przy zbiegu ulic Czerniakowskiej, Szarej i Rozbrat (około 50,000 łokci □), w bliskości licznych fabryk, drugi przy ulicy Pańskiej i Prostiej (około 4200 łokci □), w bliskości warsztatów kolei żelaznej.

Za normę według której rada zarządzająca zamierzała budować domy spółki, przyjęta została jednostka zawierająca 30 do 40 mieszkań, z których $\frac{3}{4}$ jednopokojowych, a $\frac{1}{4}$ dwu i trzypokojowych; przytém 4 sklep przynajmniej i salę ochrony.

Po naradzie z budowniczymi zaproszonymi przez radę zarządzającą, przedstawione zostały przez tychże budowniczych plany i anszlagi, z których za najlepszy co do rozkładu, uznanym został projekt s. p. Marconiego, jako posiadający te główne zalety:

1) Przedstawia system oddzielnych sieni, a nie wspólnych korytarzy, co szczególnie pod względem sanitarnym ważną jest dogodnością.

2) Pomimo porieszczenia, w skutek takiego systemu, większej liczby schodów, więcej jednak zawiera powierzchni mieszkalnej.

3) Oddzielne sienie i schody w przypadku ognia dają mieszkańcom możność ratowania się daleko łatwiej, aniżeli przy wązkim korytarzu i jednych schodach.

4) Układ mieszkań tak jest projektowany, iż z wszelką dogodnością mieszkania jednopokojowe można łączyć z sobą, tworząc z nich dwu, trzy, cztero i pięciopokojowe.

Uznawszy więc rada zarządzająca projekt Marconiego za odpowiadający zamierzonemu celowi, jemu budowę domów powierzyła. Z zakupionego placu przy ulicy Czerniakowskiej, przeznaczoną została pod budowę część narożna przy zbiegu ulic Czerniakowskiej i Szarej; stosownie do tej miejscowości, zmienionym został pierwotny projekt, ze ścisłym zachowaniem systemu w rozkładzie. Kształt i wielkość placu przy ulicy Pańskiej, dozwoliły bez żadnej prawie zmiany pierwotny układ normalnej jednostki zastosować.

W elewacji obu tych domów zachowaną została skromność w ozdobach i prostota w całym układzie, nadająca domom rzemieślniczym właściwą charakterystyczną cechę; mimo to jednak odznacza się ona piękną profilów, proporcją szczegółów i tém głębię obmyśleniem, jakie posiadają wszystkie projekta nieodżałowanego architekta. Ostatnie to dzieło swoje traktował on z równą sumiennością, jak pałace wspaniałe i kościoły. Zwidziwszy w zeszłym roku domy rzemieślnicze w Berlinie, (dokąd w tym celu jedynie wyjechał), niektóre szczegóły z tamtąd do swego projektu zastosował, a następnie kierunkiem budowy gorliwie się zajął.

(1) Rysunki ich później czytelnikom swoim podamy. (Przypisek redak.)

iki i oddzielną kuchenkę. Jeden pokój służy za sypialnię rodziców lub matki z córkami; oddzielną zaś kuchenka dozwala utrzymać mieszkanie w należytym porządku, w niejakiem oddaleniu od nieuchronnego prawie swędu i dymu.

Wreszcie co się tyczy wprowadzenia udogodnień, oszczędzających piędzi i ułatwiających pracę w codziennych gospodarskich zajęciach lokatorów, to po części od rady zarządzającej nie zależy. W innych stolicach Europy kanały, wodociągi i gaz, wszystkie mi ulicami rozprowadzane, pozwalają na urządzenie rur zlewowych, rur doprowadzających wodę na piętra i na oświetlenie gazowe. W naszych domach urządzić podobne kosztowałyby bardzo wiele, a tym samym musiałyby wpłynąć na podwyższenie ceny najmu, albo zbyt wielkie obniżenie stopy procentowej od kapitału spółki. Rada zarządzająca miała pierwotnie zamiar zaprowadzenia w domach rzemieślniczych rur zlewowych; odstąpiła jednakże od tej myśli nie tylko dla kosztu, ale i dlatego, że rozkład mieszkań nie przedstawia możliwości dobrego urządzenia zlewowników; należałoby je bowiem umieszczać albo w pokojach mieszkalnych, co by powodowało ciągły zaduch, albo w sieniach, wspólne dla każdego z czterech lub pięciu lokatorów; przy takim zaś nagromadzeniu zlewanych nieczystości, niepodobna byłoby utrzymać schody w należytym porządku, nie mówiąc już o innych niedogodnościach. Już to urządzenie rur zlewowych wtedy dopiero okaże się praktycznym, gdy w każdej chwili można je będzie splukiwać wodą czystą, dochodzącą do mieszkań inną rurą i gdy wylot ich będzie umieszczony w kanale pod ulicą, a nie na zewnątrz nad rynsztokiem; inaczej niepodobna jest uniknąć nieprzyjemnej woni i zamarzania płynów w rurach podczas zimy.

Różne ulepszenia, dziś tak trudne do wprowadzenia, z postępem czasu uproszczą się i ułatwią, a wtedy niezawodnie i w domach rzemieślniczych znajdą zastosowanie, jak wiele innych pomysłów w obecnych warunkach niewykonalnych.

Przy szczęśliwych okolicznościach, przy większej liczbie stowarzyszonych, przy powiększonych zasobach materialnych, spółka niewątpliwie rozszerzy zakres swej działalności, nie ograniczy jej jednym wyłącznym kierunkiem, — lecz owszem pełniej i silniej rozwijać zechce myśl raz podjętą. Na tej drodze towarzyszyć jej będzie uznanie ogółu, czującego ważność tej kwestyi, której rozwiązanie jest jednym z najżywniejszych zadań społecznych.

E. K.

Stanisławowi Bogusławskiemu,

z uczuciem serdecznego poważania

autor.

ZA MŁODY

(Powiastka rymowana).

„Oj! gdyby życie było poematem!
Wł. Syrokomla. (Wielki czwartek).

I.

Krótką powiastką co tutaj widzicie,
Śmiechem nie zdławi, ni schwyta za serce;
Pana Iskierki opowiem wam życie,
A Jacek było na imię Iskierce.
Imię prawdziwe, — lecz rodowe miano
Zmienione, słysze, przez jakieś tam wpływy;
Pono dlatego Iskierką go zwano,
Że z charakteru jak iskra był żywy.
W jakim zaś Jacek zrodzony powiecie,
Jacy go na świat wydali rodzice,
Nie wiem — i wątpię czy gniewni będziecie,
Żem tego w żadnej nie znalazł kronice.

II.

Otóż pan Jacek, młodzieńcze pachole,
Wczesnie do ludzi wyleciał jak z procy,
Początki nauk brał w jakiejś tam szkole,
Potém rad nierad o własnej szedł mocy.
Krzepki na duszy, choć z ciała nietęgi,
Snem pasożytów nie skracał żywota,
Codzień o świecie zasiadał do księgi,
Codzień w nim rola do pracy ochota.
Mieszkał pod strychem, żył Boską opieką,
Dał grosz biednemu, gdy zebrał dwa grosze,
„Chłodno i głodno — do swoich daleko“
Poznał z praktyki — i przywykł potrosze.

(Dodatek do Nru 298 Tyg. Ilustr.)

Miał lat piętnaście, gdy stanął wśród świata
Jak krzaczek w puszczy; lecz żwawa natura
Tyle zdziałała, że Jacka w trzy lata
Na aplikację przyjęto do biura.

III.

Tam lżej odetchnął. „O! teraz nie zginę,
Tu się człek przecie wystrychnie powoli...“
I fruwał w marzeń wiosennych krajinę.
I ujrzał przyszłość w świetnej aureoli.
— „Ha! toćże moja karyera zaczęta,
Zwykle krok pierwszy jedynym oporem,
Czemuzbym nie miał wyjść na referenta,
Nie zostań radcą, zdolnych protektorem?..
Jakoś to będzie... i wszystko się ziści!..
Pozwolą dowieść niebiosa łaskawe,
Że jak w tornistrze Napoleonieści,
Ja marszałkowską mam w pracy buławę.“

I pan Iskierka jak najakuratniej
Biegł do biura, niegorszy od mrówki,
Przychodził pierwszy, wychodził ostatni,
I w domu palił nad księgą łojówki.
To też naczelnik, człek zacny nielada,
Acz dojrzał w Jacku zjawisko nienowe,
Już i przychylniej do niego zagada,
I drugim szepnie: „Ten chłopiec ma głowę!“
A nawet czasem gdy więcej ochoczy,
Klepnie go w ramię, skrzypnie tabakierką,
— „Pociągnij waszel to zdrowo na oczy,
A bądź wytrwałym, mój mości Iskierko!
Praca cię stawi w pożytecznych rzędzie,
Da poważanie, zaszczyty, dochody;
Dzisiaj ci biada, — lecz etacik będzie...
Tylko nie zaraz... boś jeszcze za młody!“

IV.

Na takie dictum, policzki jak wiśnie
Za każdym razem Jackowi skraśniają,
Wszystkich kolegów z uciechy uściśnie,
Nawet się woźnym uśmiechnie koleją;
Bo mimo wieku i zasługi przedział,
Jacka kochali i starsi i prości,
A że nadzieja — (ktoś mądrze powiedział)
Częstokroć lepsza od rzeczywistości, —
Jacek jej sobie nie żałował wcale,
I nie ustając na mozolnej drodze,
Z trudami w młodym wojując zapale,
Rozkosznych marzeń nie chwytął na wodze.
Przyszłość, jak cudne myśli poematu,
Codzień mu jaśniej wbiegała do duszy,
A na rachunek blizkiego etatu,
Nawet się biadał zakochał po uszy!
Chodził w konkury!.. i wyznać należy,
Gust miał nielada, wzrok wcale nie słaby,
Wybrał kwiateczek skromniuchny i świeży,
Strojny w urody i serca powaby.
Sam zaś?.. wie Pan Bóg i święci patroni,
Z czego się wzajem podobał tak żywo.
Bo nie z bogactwa, nie z laurów na skroni...
O! dusza duszę odgadła pocziwą!

Szło tylko o to, by chęci gorące
Mógł do spełnionych policzyć wydarzeń,
Ów upragniony etat, — trzy tysiące,
Cel zakochanych aplikantów marzeń!

Ale zwierchnikom nie było tak pilno...
A gdy na sessji wniesiono rzecz wreszcie,
Sypnęli rocznie za pracę usilną
Nie trzy tysiące, — lecz tysiąc i dwieście.
Skrzywił się Jacek zwiędziony okropnie,
Więc mu naczelnik wyluszcza powody:
— „Widzisz waś, trzeba kolejno przejść stopnie,
Na większy etat dziś jesteś za młody!“

V.

— „Ha! trudna rada! — rzekł Jacek do siebie
Po trzech-tysięcznej nadziei pogrzebie.
— Jestem za młody... potrzeba przejść kolej...
Słusznie! toć ona nadejdzie powoli...
A narzeczona? cóż powiem dziewczynie?
Ba! musim czekać, czas żywo upłynie!..
A jeśli to w niej sprowadzi odmianę,
Zniosę cios mężnie — i kochać przestanę.
Tak mówił rozum. Lecz w Jacku Iskierce
Inaczej całkiem szczebiotało serce;
Ono, nie wchodząc w piędzące zawody,
Szeptalo: „młodyś? więc kochaj gdyś młody!
Bo gdyby w młodym ta chęćka osłabła,
To kiedyż będziemy kochali u djabła?“

I wdzięki Basi przed okiem mu błysły,
I aż Jackowi zachwiał się zmysły;
Więc gdy nim taka wstrząsnęła podnieta,
Palnął nieborak... monolog z Hamleta:
„Być, albo nie być... O! tu sek nielada!
Czy się ożenić, czy zwlekać wypada?“
A serce na to, kończąc swoje dzieło,
Takiego w piersiach kulaka wycięło,
Że biedny Jacek od pół monologu,
Znalazł się nagle u Basi na progu.

Święta młodości! i jakież zapory
Wstrzymają lot twój i wzniosły i skory?
Co cię zniechęci? co ciebie zatrwoży,
Gdy ci się jeszcze uśmiecha świat Boży,
Gdy jeszcze wierzysz i w siebie i w ludzi,
Gdy cię ich szczerocść kłamana uludzi,
Gdy w sobie płonąc nadzieją radosną,
Wszystko w twych oczach urocą technie wiosną?
Jasna młodości! czarodziejska księgo!
Tyś jest natchnieniem, tyś życia potęgą!
Cofając pamięć w młodzieńcze swe dzieła,
Nieraz za niemi iza starców płynęła!

Cóż za dziw tedy, że Jacek, co z młodu
Zwykł z niejednego żartować zawodu,
Co nigdy w burzy dzisiejszej zawiei,
O lepszym jutrze nie tracił nadziei,
Co niby w świętość, mimo przeszkód roje,
Wciąż wierzył w przyszłe powodzenie swoje...
I teraz, waląc przebywszy chwilową,
Pogodę duszy odzyskał nanowo?
Że choć w etacie zawiodło go szczęście,
Znow postanowił iść z losem na pięście,
Pewny, iż chudą fortunę okraśli
Pracą, wytrwaniem i miłością Basil?

Oj, miłość! miłość! toć przecie i ona
Wiele zdziałała — i więcej dokona!
Wy młodzi, starzy, wy wieley i mali,
Wy co kochacie, lub coście kochali,
Powiedciez sami, czy pierś kochająca
Lęka się gromów? czy skał nie roztrąca?
Czy nam nie miłość duszę rozpromienia
Iskrą rozumu, ogniem poświęcenia?
A zkad ta siła? ot, dowieść najprościej;
Bo miłość, pierwszym natchnieniem młodości!

A że nasz Jacek posiadał oboje,
Wnet uspokoił stroskaną dziewoję,
Przyrzekł że szczęście dla dwojga zdobędzie,
I wziął ślub z Basią w niedługim zapędzie.

I gdy serdeczne wyśniły się mrzonki,
Koledzy pięknej winszowali żonki;
Tylko naczelnik, pokrećwyszy głową,
Rzucił Jackowi niepokieszne słowo:
— „Mości Iskierko! coś zrobił u licha?
W troskach człek chudnie i mózg mu wysycha;
Żona, dzieciaki, kłopot, korowody,
Waści się żenić!... za młodyś, za młody!“

VI.

Jeśliś się żenił, czytelniku luby,
Dziś, wczoraj, albo przed wieloma laty,
Jeśliś ze szczerzej miłości żonaty,
Powiedź, w dniu ślubnym, czyś wdał się w ra-
[chuby?

Jak z swojej pracy wyżywisz was dwoje
W takiej drożyznie na masło, chleb, mięso,
I gdy dwa z ciemną kuchenką pokoje
Pół twojej płacy z kalety wytrzęsą?
Powiedź, czy ciężar twych trudów, zdwojony
Sercem istoty ukochanej, miłej,
Wydawał ci się ciężarem nad siły?
Czybyś go oddał za skarby, za trony?
Gdzie zaś! tyś wtedy nie cyfer szedł drogą,
Gderania starych nie tobie się zdały,
Tyś patrzył na świat tak dumnie, tak błogo,
Jakby do ciebie należał świat cały!
Toż samo w duszy jaśniało Iskierce:
Basia mu była przyszłości promieniem,
Życiem, odwagą, radością, natchnieniem,
Więc świat był jego!.. bo świat tam gdzie serce!

A co naczelnik wygwarzył tak sucho,
Wpadło Jackowi nie w serce, lecz... w ucho.

— „Czyż wszyscy młodzi, pomyślał, biedacy?
Zbraknie mi chleba? poszukam go w pracy.
I szukał pilnie i znalazł obficie;
Nim szedł do biura, pracował o świecie,
Po biurze, Basi zyskawszy pieszczotę,

Biegł na lekcji, godzinka dwa złote;
A w tych lekcjach rozkosze nie lada...
Czasem się spocic nad niemi wypada,
Zwłaszcza, gdy przyjdzie klasę rozum do głowy
Z pojęciem tegiem... jak kolek dębowy!
Ale konieczność silniejsze ma ramię,
Ona i kolki dębowe polamie,
Toż gdy Jackowi zaciężył ów przymus,
Powiadał sobie: „*discendo discimus*,
Bądźmy cierpliwi, wszak ucząc dzieciska,
I moja głowa coś na tém pozyska.
I był cierpliwy— i znów po powrocie
Siadał do książki w wytrwałej obojęt;
I tak w zajęciu— w miłości najszczęśliwszej,
Jak błyskawica przeleciał rok pierwszy.

Pierwszy... lecz drugi... był trochę przydługi...
A po nim trzeci, był dłuższy niż drugi,
Bo chociaż praca nielada podporą,
Jacek już musiał pracować na czworo.

„Oj! gdybyć życie było poematem!“
Wyrzekł poeta co zgasł nam zawczasie.

Za przyjacią, za uczuć mych bratem,
Prawie toż samo powtórzę boleśnie;
Gdybyć to życie poematem było,
Jak kwiat poranny radosne i świeże,
Snulbym wam z niego piosenkę tak miłą.

O! maszże tobie! jest lza na papierze...
Czekajcie, wsiąknie, niewielki ambaras,
I do Iskierki wrócimy się zaraz,
Do owęj piosnki powszedniego chleba...

Owoż, dwóch synków zesłały mu nieba;
Jeden już zwawo po pokoju drepce,
A drugi krzepko... zasypia w kolebce;
Obaj do życia uśmiechnięci szczerze,
I obu, matka jak Anioł stróż strzeże.

Tylko nie myślcie że w piersi ojcowskiej,
Uśmiech dziecięcy, niewinna pieszczota,
Wśród owęj burzy ziemskiego żywota,
Nie rozpraszają chmur żalu i troski.
Nie myślcie tego; nasz Jacek przy synach
Śnił tylko o tém, co kiedyś z nich będzie,
W jak dzielnych ludzi postawi ich rzedzie,
I widział obu w zasługi wawrzynach.
A jeśli w pracy zwiększonej zawodzie,
Ból go dotkliwszy do serca dobodzie,
To sobie marzył, że chwila ponura
Zniknie jak pianka, przeleci jak echo,
Że lada moment przybiegną doń z biura
Z powiększonego etatu pociecha.

Tymczasem w biurze szło jakoś inaczej;
Ciężka to orka na biurowej glebiel!
Zwłaszcza że Jacek w ambicyi prostaczęj
O nic nikogo nie prosił dla siebie.
On, choć mu w mózgu nieszczęście przewraca,
Nie szukał żadnych protekcyj po świecie,
On sobie myślał najprościej, że przecie
Zdolnych i chętnych proteguje praca.
A pracę Jacka już dosyć wysoko
Wśród biurowego oceniano świata,
Już i za starszych pisał referata,
I pisał gładko— i z myślą głęboką.
Więc nasz bohater niezgorzszą miał szansę.
Naczelnik prawil: „Oj! główka to chwacka!
Ten pójdzie w górę!“ Lecz jakoś wakanse
Biegły, a żaden nie trafiał do Jacka.
Co który nadszedł, to obcy pochwyca;
Czasem aż Jacka żółć jadem rozrani,
Gdy owoc rwali zaprotegowani,
A on zostawał z kwiatkiem— obietnicą!

Tak znowu, lubo nie krótkich jak chwilka,
W przepaść wieczności czas wrzucił lat kilka.
A w domu Jacka?... o! rozkosz prawdziwa,
Ciszy ubywa, kłopotu przybywa;
Do uśmiechniętej braciszków twarzyczki,
Śmieją się pięknie dwie śliczne siostrzyczki.
Trud powiększony; lecz serce obojętne
Jeszcze się rażno z niedolą szamocze,
A gdy w kieszeni zabraknie szeląga,
Jacek wybiega i długi zaciąga...
Toć przyjdzie etat w zamożnej postaci,
Zabręknie trzosem i wszystko popłaci!

I przyszła chwila radością iskrząca,
W złocistej nawie pan etat już płynie,
Po ciągłych zasług lat całym tuzinie,

Dano Jackowi... półtrzecia tysiąca!
I Jacek zbrojny na nowe mozoły,
Nim się obliczył, był wielce wesoly!

Więc pan naczelnik swym starym zwyczajem,
— „Widzisz waść, rzecze, nie zwlekłem nagrody,
I waszeć w pracy bądź hojny nawzajem,
Masz skarb, nie etat! a jeszcześ tak młody!“

VII.

Dług, to ów grzybek... drobniuchna roślina,
Co tysiąc ramion z szypułki rozpina,
Co źdźbło, urywek każdego ramienia,
W szczep nowych ramion tysiąca przemienia,
Co, moc wilgotnej budowy wyniszcza,
Co w niej nurtując, zamienia gmach w zgłiszca.
Procent zaś,—bratem jest hydry stugłowej,
Żadne mu siły istnienia nie wydrą,
Utniesz łeb jeden, wyrasta wnet nowy.
I znów procentem, jak hydra jest hydra.
Nie przeciw niemu potęga człowieka,
Krzepki Herkules był bogiem w swym czasie,
A i ten z hydrą w zwyciężkim zapasie,
Prócz siły, użył i ognia i miecza.
Więc niechaj nikt się napróżno nie mami,
Że zwalczy procent *golem* rękami!
Tak też i Jacek; on placąc dług pierwszy,
Jakoś niechcący posłizgnął się w drugi,
Przez drugi w trzeci, wbrew chęci najszczęśliwszej,
A przez procenta, po uszy wpadł w długi.
Toż kiedy etat półtrzecia tysiąca
Przyszło cyframi podzielić wzorowo,
Nadzieja, zdala tak jasno płonąca,
Zbliżyła się z świeczką zrównała groszową;
A błady pomyk, co iskrzył się na niej,
Nie mógł dopomódz do wyjścia z otchłani.

I znów Iskierka ze żrenicą lżawą,
Rzucił się, miotał, na lewo, na prawo,
Szedł wśród ciemnicy, gdzie tracił już zmysły,
Aż znów promyki nadziei zabłysły,
Zaświecił wakans, urzędnik nie lada,
Zdawna na Jacka patrząca posada.

— „No! rzekł do siebie,— ten pewno pochwycę,
Służy mi prawo i mam obietnicę!“
I już tym razem człowieczątka ciche,
Zrzuciwszy z serca czy skromność, czy pychę,
Zamierzył w biurze dopomnieć się śmiało
O to, co mu się własnością wydało.
Lecz nim nadeszła do działania kolej,
Swój zamiar zwierzył kolegom powoli.
I... wpadł w Charybdę.

Do posady owęj
Że trzeba było nie od czapki głowy,
Mniejsza; Iskierkę szczerze, czy nieszczerze,
Często nad wielu stawiano w tej mierze,
Lecz tu myśl inna, jak zwalona skała
Pomiędzy Jacka a kolegów spada;
Posada trochę starszeństwem pachniała...
O! tego znieść już nie mogli widziadła!
— „Jako? ów Jacek, potulna figurka,
Ów groch przy drodze, skubany bo słodki,
Co choć nie głupi, gdy wstanie od biurka,
Z aplikantami wyprawia chichotki;
Co nawet woźnych uważa za braci,
Co ukłon nawet ze stróżem zamienia,
Miałby nam wszystkim w zwierzchniczej postaci
Przywozić, gderać, wydawać zlecenia?!
A! to horrendum! to zbrodnia! Nie panie,
Tego nie będzie, inaczej się stanie!“
Tak sobie w duszy myśleli koledzy,
Gdy głośno zamiar Jackowy chwaili...
Toż później, myśl ich, z wiedzą czy bez wiedzy,
Prysnęła jadem od chwili do chwili,
I kiedy sale biurowe przenika,
Wpełza jak żmija aż do naczelnika.
Ten i ów przy nim o Jacka zamiarze
Prawiąc, objawia życzliwość obłudną,
Lecz *pro* i *contra* gdy gładko wykaże,
Kończy, że będzie Iskierce zatrudno;
Że chociaż głową zakrawa na zucha,
Brak mu powagi, bo młodszy od wielu,
Nikt go nie uczył, nie każdy posłucha;
Zatem źle będzie!..

I doszli do celu;
I nasz bohater przez takie powody,
Znowu usłyszał nieszczęście: „za młody!“—

VIII.

Na tę odpowiedź drgnął Jacek Iskierka,
Jakby z niej gromy zionęły złowieszce;

— „Za młody“—myślą powtórzył raz jeszcze,
Więc młodość, życie, to moja usterka!
Więc sobie pole zasługi otworzę,
Gdy niedoleżta nadejdą mi lata,
Gdy kamień troski, co siły przygniata,
Znekany umysł odepchnie w bezdroże!
Zresztą, w czém wieczna ta młodość się mieści?
Wszakże nie w pracy, bo dałem dowody,
Ani w postaci, bom lichęj urody,
Ani w metryce, bo lat mam czterdzieści!
Trudno mi pojąć, zgadywać daremno...
Jakaś fatalność zawisła nademną!“

Gdy takie myśli po głowie mu biega,
Gdy coraz większe powstają z nich dziwy,
Nie mógł odgadnąć przyczyny prawdziwej;
Spróbujmy, może ją zgadnim za niego...

Gdyby Iskierka z przelotnej pochwały
Był wielce dumny, był zarozumiały,
Gdyby miłując próżności ponęty,
Chodził wśród ludzi jak pęcherz nadęty,
Jak owych głupców szarańcza śmiejąca,
Co mało nosem dachówek nie strąca;
Gdyby dla równych jak niedźwiedz ponury,
Na niższych patrzył jak księżyc z za chmury;
Gdyby w nim dusza czczą pychą przejęta,
W prostaczęj braci widziała zwierzęta;
Pewno by nie był tak długo za młody!

Ale Iskierka miał inne zarody.
On w charakterze nie dumny, nie hardy,
Czczył wyższych, niższym nie rzucał pogardy;
On, mimo ciężkich z niedolą obrotów,
Zawsze ku bratniej posłudze był gotów;
On sercem z bożą kojarząc się działwą,
Wszystkich ku sobie osmielał zbyt łatwo;
On krusząc ciężkie przymusu kajdany,
Kochał i wierzył—i chciał być kochany!
Biędny Iskierka!—Stanąwszy przed światem
Z uczuciem w szczerostę, w prostotę bogatę,
Zapomniał, mimo pamięci swęj siłę,
Że kozy skaczą na drzewa pochyle!

Otoż to pono prawdziwe powody,
Dla których smutny, wracając do sali,
Znów od kolegów, co o nim szepotali,
Zamiast „za skromny“—dosłyszał „za młody!“

IX.

Dobry słuchacz! gdyś dotąd cierpliwie
Śledził za piosnką, com ku twęj posłudze
Zebrał... na niezbyt czarującą niwie...
Pozwól, niech już cię do reszty donudzę!
Może, gdy silniej uderzy mi serce,
Gdy świat się oku radośniej ukaże,
Coś weselszego wyspięwam, wygwarzę;
Tymczasem... słuchaj o Jacku Iskierce.
Już teraz inne uczucia w nim tleją,
Zamknął dla świata swą duszę zbolalą;
Jednak, raz jeszcze zapłonął nadzieją,
I... zobaczymy co potem się stało.

Gdy skaranemu Jackowi bez zbrodni,
Ból przysechł wreszcie do piersi i czola,
Począł uważniej spoglądać dokoła,
I począł w ludzi wpatrywać się chłodniej...
On tak uczynił, jak każdy uczyni,
Co wpadłszy w przepaść,—gdy nóg nie polamie,
Skoro w nim uczucia oderwie się znamię,
Zwolna się w ciemnej rozgląda jaskini.
I jeśli dojrzy skał groźne załomy,
Jak kły tygrysa dokoła sterczące,
Dziwi się, że go jak potwór łakomy,
Nie rozszarpały w sztuk krwawych tysiące;
Serce mu trwogą i wdzięcznością bije,
I z uniesieniem powtarza: „ja żyję!“
Ale gdy przepaść wybadawszy ową,
Pozna że z niej się już nie wydostanie,
Przeklina życie zyskane nanowo...
O! strasznym ciosem jest rozczarowanie!

Tak Jacka coraz dotkliwszy ból drażni,
Coraz mu w duszy cierni świeży się plemi,
Gdy z swęj ciemnicy co chwilę wyraźniej
Widział fałsz w wszystkim, w co wierzył na ziemi,
Toż gdy pomyślał, że jeszcze potrzeba
Łamać się z życiem w tej moralnej nędzy,
Zwrócił zwiłżone żrenice do nieba,
By mu spoczynkiem błysnęło copredziej.

Tymczasem, kiedy w biurowe szedł ściany,
Unikał pilnie przyjaźni kłamanęj;

Widział już jasno co zdradza, co ludzi,
I żył samotny, choć niby wśród ludzi,
Nic go przywabić nie było już w stanie,
Więc się koledzy dziwili tej zmianie;
Szeptali sobie nieszczerzy, nieszczerzy,
Dlaczego głowę opuścił na piersi?
Czemu na twarzy schmurzonej, wybladłej,
Płomiennie oczy przygasały, zapadły?
Dlaczego Jacek jak puszczyk, jak sowa,
Na tłum nie patrzy, przed gwarem się chowa?
Nawet niektórzy dąsali się hardo,
Że jeśli spojrzy, to jakby z pogardą....

I były chwile, że w lichy izdebce
Duch zgarbionego Iskierki nad księgą
Czuł się swobodnym, natchnionym potęgą,
Jakiś nie wydrą zawistni pochlebce.
Czuł, że choć ludzie odjęli niemało,
Z darów mu *Bożych* dość jeszcze zostało.

Tylko gdy przyszła nieszczęśliwa kolój,
W której brak chleba, powszednich trosk ciernie
Swobodną duszę więziły w niewoli,
Jacek się budził i zmieniał niezmiernie.
Bo wtedy, jak nad zgruchotaną strzechą,
Grzmi z urąganiem piorunowe echo,
Tak nad Iskierką, szarpiąc wszystkie nerwy,
Wyraz „za młody” — przebiegał bez przerwy.
„Za młody!” słyszał w spoczynku, na jawie,
Ten wyraz w obłęd wprowadzał go prawie!
W ustronnej ciszy, w drzew smętnym szeleście,
W domu, wśród ludzi, przy pracy, na mieście,
W loskocie burzy, w promieniach pogody,
Brzmiało fatalne: „za młody! za młody!”

X.

Zamknij się szczelnie gdy gwar ci dokucza,
Nie żałuj zapór, ni zamku, ni rygła,
Znajdzie się licho, co dziurką od klucza
Wpadnie — i jeszcze wypłata ci figla!
Tak i Jackowi, co okiem już suchym
Na swoje krzywdy spoglądał oddawna,
Przekłute licho zabrzękało nad uchem,
Że znów posada zjawiała się sławna!
Potem to licho, na wszelki przypadek,
Żonie i dzieciom szepnęło: „posada” —
Potem pobiegło do czterech sąsiadek,
I do sąsiadek sąsiadów sąsiada.
Wszak to najbliżsi niedoli świadkowie,
Każde słóweczko zachęty podpowie,
I chłodny Jacek, przy takiej podniecie,
O swoje prawa dopomni się przecie.

I diabła praca nie stała się marną,
W domu Jackowym już tłumno i gwarno,
Wprawdzie odmówił raz, drugi i trzeci,
Ale spojrzawszy na żonę, na dzieci,
Wspomniawszy sobie dług świętej opieki,
Łza mu paląca zrosiła powieki.
Tęm pobudzony silniej niż namową,
Jął się ubierać spiesząc, gorączkowo,
I choć go tajny wstręt chwycił jak w kleszcze,
Raz postanowił przypomnieć się jeszcze.

Owoż, gdy Jacek z ubiorem się wikła,
Gdy go staranność zajmuje niezwykła,
Gdy spojrzął w lustro już całkiem gotowy,
Coś mu dziwnego przypadło do głowy;
Krzyknął *ach!* silnie, aż szyby zabrzękły,
Aż się sąsiadki sąsiadek przelekły,
Wybiegł z izdebki i rozpromieniony
Wpadł do swych gości, do dzieci, do żony,
Oczy mu jakąś radością jaśnieją,
Cztery sąsiadki uściśną koleją,
Dwie przyjaciółki i pana sąsiada,
Potem do dzieci, do żony przypada,
Wszystkich obecnych całuje i ściska,
Więc wkoło Jacka gromadzą się zblizka,
I dopytują sąsiadki sąsiadek,
Jaki go szczęsny napotkał wypadek?

— „Nie! — mówi Jacek, — zły los się odmieni,
Mam już posadę jak gdyby w kieszeni,
Biedne dzieciśka! radujcie się zemną,
I wasza przyszłość nie będzie już ciemną,
Dzisiaj kres waszój i mojej niedoli,
Wszystko się jakoś wyjaśni powoli!”

Więc znów uściśki i znowu pytania,
Ale już Jacek gawędy się wzbrania,
Z fantazją czapkę na głowę nakłada
I pędzi, gdzie go powita posada.

Cisną się za nim sąsiadki zdziwione,
Gotowe także polecieć w tę stronę,
Coraz je większa ciekawość zapala,
Lecz Jacek dawno przeskoczył już schody,
Tylko głos jego na górę biegł zdala:
„Chwała Ci Stwórco! nie jestem *za młody!*“

XI.

Przybiegł do biura; tam znów z każdej strony
Szepty; znów każdy ciekawie nań zerka;
— „Cóż dzisiaj Jacek taki ożywiony,
Cóż dziś tak strojny nasz Jacek Iskierka?
Niezwyczajna radość wygląda mu z miny,
Czyby fortuna zabłysła loterją?
Czy której z córek sprawa zaręczyny?
Trzeba to jakoś wy badać na serjo!”

Tymczasem Jacek z obliczem wesółym,
Dobywa papier, zasiada za stołem,
Pisze podanie, we czworo je składa,
Odda gdzie trzeba — i będzie posada!

Zkąd taka pewność? zkąd taka odwaga?
Odpowiedź krótka, słóweczka wymaga.

Oto, gdy z serca znikły mrzonki płochy,
Nasz biedny Jacek zaniedbał się trochę...
Strój dlań staranny nużąc był mustrą,
Lat kilka nawet nie szukał gdzie lustro,
A dziś w nie spojrzął i.... stanął zdumiony;
Spojrzał uważniej — i nie widział siebie;
Widmo, wydarte z grobowej opony,
Stańło przed nim po dawnym pogrzebie!
Twarz nędzna, żółkła, zmarszczkami poryta,
Usta wybladłe, zacięte bolesne,
Znak życia ledwie w zrenicach wykwiła,
Głowa zbielona siwizną przedwczesną.

I patrzył Jacek w to straszne zjawisko,
I chciał je spłoszyć wejrzeniem, szelestem,
Lecz nie! nikogo nie było tam blisko...
— „A więc, — zawołał — więc to ja sam jestem!”
I jeszcze badał te śmiertelne lica,
Aż mózg przebiegła myśl jak błyskawica,
Aż w swój postaci, jak w rozkosznej wiosnie
Dojrzał nadzieję — i krzyknął radośnie.

Gdy więc myśl taka Iskierkę przenika,
Pewny wygranej, wszedł do naczelnika;
(A trzeba wiedzieć, w koleji biurowej
Że już oddawna naczelnik był nowy,
Dawno przestała skrzypieć tabakierka,
Z której przed laty żążywał Iskierka.)

I podał prośbę. Naczelnik ją bierze,
Po zapisanym spogląda papierze,
To znów na Jacka, co dotąd nieboże
Trwa w swój nadziei, trwa w dobrym humorze.
Wreszcie, rzekł sucho po krótkim namyśle:
— „Panie Iskierko, zbadawszy rzecz ściśle,
Supplikowana przez ciebie posada
Wymaga siły, energii nielada...
Nie tobie wytrwać w tak ciężkim mozoł;
Zresztą, gdy *młodym* zagradzać chcesz pole,
Gdy w tém nieludzkie dostrzegam zamiary,
Powiem otwarcie, że jesteś... *za stary!*“

XII.

Jeszcze słóweczko, a dojdziem do końca.

Zniknął Jackowi ostatni blask słońca,
Oko krwią zaszło, usta zasiniały,
Stał przed zwierchnikiem niby skamieniały,
Stał długo; wreszcie westchnawszy ponuro,
Drgał konwulsyjnie, przeleciał przez biuro,
Przebył uśmiechy gawiedzi próżniaczej,
I wpadł do domu jak widmo rozpaczny.

Tam nikt od Jacka nie do badał słowa,
Jakaś nań febra napadła mózgową,
Krew w żyłach kipi naprzemian i stygnie,
Biedny Iskierka coś gwarzy w malignie,
Coś przypomina od chwili do chwili,
Przed okiem dziwne szaleją straszdyła,
To drży, to śmiechem pierś wątłą wysili....

A śmierć powoli roztacza swe skrzydła;
Jak zmrok, nad kwiatów spalone kielichy,
Zniża ku niemu lot pewny i cichy,
Przyjaznym chłodem na spiekłą skroń wionie,
I szepce: „człeku! odpoczniesz za chwilę,
Ja cię na swoim ukolyszę łonie

I uspiętego ułożę w mogile;
Gaj ci cmentarny piosnkę zaszeleści,
Nad grobem stanie krzyż ziemskich boleści,
U stóp się jego powoje rozplemią,
Wierzaj, oh! wierzaj, spokojnie pod ziemią!”

I przyszedł moment bolesny rozstania,
I znów Iskierce przytomna myśl świeci,
Uściśnął żonę, ucałował dzieci,
I słabym głosem chciał słumić ich łkania.
Potem do synów przemawiał coś pono,
Że żyć powinni dla dobra współbraci,
Że choćby za nie trucizną płacono,
W obliczu Boga nikt zasług nie traci....

Wreszcie gdy uczuł że śmierć się przybliży,
Raz jeszcze usta przycisnął do krzyża,
Gorycz w nim żadnym nie drgnęła już echem,
I świat po żalu, pożegnał uśmiechem.

A na pogrzebie, bez żadnej odmiany,
Falsz szedł za trumną starym systematem;
Mówiono: „umarł!... a tak był kochany!...
Szkoda!”

Nie! — życie nie jest poematem!...

Jan Chęciński.

Piotr Tomicki

BISKUP KRAKOWSKI.

(Dokończenie).

Klemens VII posłuchał głosu boleści i polecił 19 czerwca 1531 r. Tomickiemu, jako głównemu poborcy świętopietrza, żeby oddał wszystkie wpływy królowi i darowiznę Leona X jeszcze na drugie lat 40 przedłużyć, na odbudowanie zamków, a mianowicie Kamięca (Theiner II 473.) Wilamowski skarżył także przed papieżem rozwolnioną karność klasztorów polskich, zaniedbanie nabożeństwa i celów fundacyi. Król widział skutkiem tego osłabioną gorliwość w ludziach bogatych; niejednen z nich chciał również za wzorem przodków stawiać kościoły, ale zląkły się rozpusty, którą miał przed oczami, na inny cel skierował swoje dobre chęci, albo zaniechał zamiaru. Zły był przykład i zgorzenie obyczajów. Król żądał po ojcu św. żeby zreformował opuszczoną karność. Klemens VII miał szczególną ufność w Tomickim. (specialem fiduciam.) Polecił więc jemu, ażeby się zabrał do tej sprawy, przybrawszy dwóch albo jednego prałata, których nominacją, gdyby tego biskup żądał, zostawił królowi. Polecał im objeżdżać klasztory, naprawiać je i budować (29 lipca.) Tomicki zanosił także przez Wilamowskiego skargi. Do tej chwili, lat to już sześć, jak opuścił stolicę poznańską; duchowni i świeccy nie powypłacali mu dziesięcin i powinności z biskupstwa. Upominał się, nie oddawali. Papież upoważnił więc kanonika i oficjara gnieźnieńskiego Jana Zirniskiego (?), żeby powagą sądu i kłatwy pomagał biskupowi do odzyskania należności. (Theiner, II, 475—476, 7 lipca.)

Dla téjże znowu swojej „szczególniej ufności,” 13 października 1531 r. papież mianował Tomickiego drugi raz nuncyuszem i prokuratorem stolicy apostolskiej do rozdawania posad duchownych w sześciu miesiącach papieżkich, to jest w styczniu, marcu, maju, lipcu, wrześniu i listopadzie. (13 października 1531 r., Theiner II, 480.) Wyższych posad nie mógł rozdawać Tomicki. Granicę pomiędzy jednemi a drugimi stanowił dochód roczny; jeżeli wynosił do 50 czerwonych złotych najwięcej, biskupa było prawo. Papież dawał z siebie przykład. Księża Stanisława Pocerzycę (tak z dycezyi gnieźnieńskiej, który był kapelanem i mniejszym penitencjarzem apostolskim w Rzymie, w kościele św. Piotra, doktora obojga prawa i agenta (negotiorum gestor) króla Zygmunta, polecał względem biskupa do wakujących posad.

Tomickiego i Jana Karnkowskiego biskupa z Kujaw, wzywał wtenczas papież do innej jeszcze pracy. Zaraz po śmierci Łaskiego Maciej Drzewicki został prymasem. Król Tomickiemu dawał wprawdzie arcybiskupstwo, ale nie przyjął tego daru ksiądz podkanclerzy i sam następczył Drzewickiego. Nowy prymas tylko co objął rząd, ale krótkiego mu czasu było potrzeba, żeby odradu pomiarkował co się dzieje. Poprzednicy jego porozdawiali dobra kościelne na dożywocie, na dzierżawy długoletnie, na czas krótszy i dłuższy. Łaski dopełnił dzieła zniszczenia: wiadomo jak był nierządny, hojny i nieprzestrzegający prawa, jak sprzyjał swoim przyjaciółom i krewnym. Taki nieład postanowił Drze-

wieki poskromić i z prośbą udał się do stolicy apostołskiej. Dwaj biskupi otrzymali stosowne w tym celu pełnomocnictwo (20 października 1531 r., Theiner II 481.)

Tomicki nową zasadę podnosił w kościele polskim, co do prawa patronatu. Uważał że nie będzie to poślednią ozdobą i korzyścią kościoła krakowskiego, który był najcenniejszym prawem w Koronie, rozszerzyć prawo patronatu do osób zależnych od biskupa. Po rozległych kluczach duchownych stołowych katedry, rządili *capitanei*, to jest starostowie, tak przynajmniej tłumaczym ten wyraz, w braku ojczyściej terminologii. Starostom tym postanowił biskup nadać więcej powagi. Sam się przeto niby z władzy ogalał, ale podnosił wysoko majestat pasterza krakowskiego. Mówił królowi, że pięknieby to było, gdyby starostowie-biskupi, którzy starają się o dobro doczesne kościoła i włóściami jego zarządzają, posiadali prawo prezentowania do kanonij i prelator. Starostowie ci nabyliby wtedy powagi u świeckich, a do kościoła byłiby więcej przez przywiązani. Rzeczywiście starostowie ci podnieśli się przez nabycie tego prawa, że stopnia urzędników prywatnych, do godności urzędników kraju. Mieliby poniekąd pewną wyższość nad członkami kapituły, którzyby teraz o ich dobre słowo zabiegali. Im biskup miałby więcej takich pod sobą starostów, tém większa byłaby jego chwała i świetność. Tomicki to doskonale rozumiał. Zamiast sam prezentować, podwładnym swoim oddawał to prawo. Ileż był wyższy od innych obywateli polskiego kraju! Jakich potrzebnych i wiele mogących miał podwładnych! Zresztą samo to ustąpienie niewiele mu odejmowało władzy. Jako biskup miał zawsze w swoich rękach najwyższą sprawiedliwość, bo sankcyą. Podnosząc tę zasadę w ojczyźnie, chciał by król wpływem swoim w Rzymie sprawę ułatwić. Zaczynał król nie mógł odmówić tej prośbie biskupa i poparł ją w Rzymie w r. 1532, przedstawiając papieżowi, żeby scholasterią krakowską i kanonij z prebendą „*quae monetaria dicitur*“ pod względem patronatu oddać starościem bodzentyńskiemu, który ofiarował się jeszcze fundusze jej podnieść. (12 lipca 1532 r., Theiner t. II str. 497.) Widocznie na tém zyskiwał i kościół. Być może iż biskup myślał tylko z początku o jednym tym starościem, zwłaszcza że z pobożną hojnością występował. Ale zasada raz wymówiona, wkrótce się rozwinęła, z uwagi na inne okoliczności. Cierpiały niezmiernie dobra duchowne w przechodzie wojska, a najwięcej biskupstwo krakowskie, przez które szła główna droga wszystkim żołnierzom na południe, ku odparciu wroga chrześcijaństwa. Król przemyślał oddawna, jak ma temu zapobiedz, ale wszystkie sposoby na nie się nie zdały, bo trudno było mieć oko razem na wszystkie ruchy i na wszystkie gościny, po których z różnych stron, oczywiście w największym nieporządku, ściągali się zbrojni. Wreszcie osądził, że najwłaściwsiymi i do poskromienia swawoli i do utrzymania żołnierstwa w korbach porządku, będą ci ludzie, na których wesprzeć się powinna powaga biskupa, to jest starostowie włóści duchownych. Czego albowiem nie pozwalają biskupowi prawa kościelne, to jest używania broni, prowadzenia wojny, to będzie z urzędu przypadać starostom. Było to coś jakby sekularyzacja władzy duchownej, odebranie biskupowi praw rządu doczesnego, dla wygody kościoła. Starostów jednak trzeba było czémś zachęcić, zainteresować do pracy, do obowiązku który ich czekał. Dlatego nadawano im prawo patronatu kościołów. Tutaj już król się zrzekał swojego prawa: miał przeciw władze ustąpić tego, co mu służyło, ale nie chciał jednakże niczego postanowić bez Rzymu. Zawsze ta szlachetność, ta zacność krwi jagiellońskiej, widoczna prawie na każdym kroku. Tym razem zyskiwali starosta ilżecki i sławkowski. Pierwszemu król ustępował swojego prawa i nominacji do trzech kanonij sandomińskich, oraz kilku kościołów parafialnych, drugiemu także prawo nadawał do kanonij i prebend w kolegiacie skarbimirskiej. „I świętobliwości waszej, pisał król do nowego papieża Pawła III z Wilna 31 października 1534 r., i stanowi duchownemu korony mojej wiele na tém zależy, bo cóż dla duchowieństwa może być pożyteczniejszego, jak żeby miało pod sobą ludzi świeckich dobrego rodu i niemalej powagi? Wsparci dobrodziejstwem waszej świętobliwości i mojem, będą kościółowi tak obowiązani, że dobra biskupie i kościelne w ich rękach pozostaną niezawodnie bezpieczne od napaści złych ludzi, dla których nie niema świętego. I spokojność kościoła przez to się również zabezpieczy, bo będzie posiadała stałą i silną obronę, jeżeli kiedy nieszczęścia wojny, tak pospolite w mojem królestwie dla częstych

nawidzin niewiernego wroga, spadną na biskupstwo krakowskie. Mnie zaś wasza świętobliwość, tak serdecznie przywiązanego do kościoła, i wszystkich biskupów moich, tém dobrodziejstwem na wieki sobie zobowiąże.“ (Theiner t. II str. 510.) Niema w urzędowych aktach wydanych przez Theinera śladu, jak się ta sprawa skończyła w Rzymie, czy papież na żądanie króla przystał? Ale to pewna, że kościół polski sam sobie pięknie napisał świadectwo. Była w nim szlachetna wyrozumiałość dla potrzeb czasu, bo król prosił także imieniem biskupów. Całe więc duchowieństwo polskie było za nadaniem większej powagi sługom kościoła; ale że poruszył zasadę Tomicki, że w biskupstwie krakowskim pierwsze miała ta zasada znaleźć zastosowanie, słusznie jego samego za sprawcę wniosku uważać należy.

Dziwnie płatają się tutaj fakta. Wiemy z kądinąd, że Tomicki już w r. 1529 otrzymał brewe papieżkie, w którym Rzym na jego prośbę przyznawał prawo patronatu do kościoła parafialnego w Ilży, właśnie starościem ilżeckiemu. Może tutaj król w r. 1534 kołatał o większe prawo, o znakomitsze dla starostów ustępstwo, bo w brewe z r. 1529 jest powiedziane, że za każdym wakaniem probostwa w Ilży, biskupi mogą swego prawa odstąpić starostom. Zresztą w r. 1534 chodziło o rozszerzenie patronatu starostów na inne kościoły parafialne i nawet kanonie kolegiackie. Tymby się tylko tłumaczyła pozorna sprzeczność, jaka pomiędzy dwiema różnymi datami zachodzi. (Pamiętnik religijno-moralny, t. XXVII str. 492.)

Chorował wtenczas Tomicki długo i bardzo. Dźwigał już ciężar lat wielki na barkach swoich; starość go więcej jeszcze znękała, jak choroba. Dlatego się spóźnił z powitaniem i z hołdami dla nowego papieża. „Niczegobym z większą ochotą nie zrobił,“ pisał do Pawła III z Kielc 2 lutego 1535 r. Widać to z listu jego, że szczerą oddychał radością z powodu tego wyboru. Najpiękniejsze rokował sobie na przyszłość nadzieje dla chrześcijaństwa. Siebie i duchowieństwo swoje i sprawy kościoła krakowskiego Pawłowi polecał. Posyłał podarunek mały, „*parvum quidem et exile*“ ale jaki, nie pisze. W Rzymie bawił wtenczas Polak Stanisław Rzeczyca, penitencyarz, kapelan papieżki. Oczywiście musi to być ten sam Stanisław Pozerzyca, o którym jeszcze pod r. 1531 wspominaliśmy. Posyłał teraz król Andrzeja Przeclawskiego do Rzymu, z obedyencyą. Obadwaj mieli być przed stolicą apostołską tłumaczami uczuć biskupa. (Theiner II str. 513.)

Że Tomicki był w swoim czasie znakomitością i w kościele i w świecie polskim, to żadnej nie podpada wątpliwości. Ale przekonywamy się z akt Theinera również, że wielkim był zwolennikiem nepotyzmu. Rzecz to powszechnie wiadoma, jak śmiało i niezmordowanie popierał swego siostrzeńca Krzyckiego do coraz wyższych godności. W Theinerze nowe tego dowody. Leon X nadał prawo królowi nominowania na pewne posady duchowne w kapitulach. Korzystając z tego prawa, Zygmunt mianował na jedną z kanonij krakowskich Jana Zamborskiego (Zamborski), mniejszego penitencyarza w Rzymie u św. Piotra, jakim był i Pozerzyca, czy Rzeczyca. Nim ta nominacja skutek wzięła, Zamborski umarł i na jego miejsce król posunął Jana Zbąskiego (Sbanski), kleryka i swojego sekretarza. Zbąski ten był pokrewnym (afinis) Tomickiego. Obadwaj pochodzili z Wielkopolski, więc łatwo być mogli z sobą w pokrewieństwie. Później już Zbąscy przesiadli się w Lubelskie. Są ślady, że w nich płynęła krew Kaźmirza W. przez Esterkę. Klemens VII d. 10 stycznia 1529 r. nominacją królewską zatwierdził. (Theiner t. II str. 462.)

Tomicki chętnie i naleganiem panów w tym względzie ustępował. Kanclerz Szydłowiecki go prosił o kanonij krakowską dla siostrzeńca swojego Zygmunta Sobka z Sulejowa. Biskup nie tylko pozwolił na to, ale i do Rzymu pisał o upoważnienie, które oczywiście uzyskał. (9 marca 1534 r., Theiner t. II str. 472.)

Korona polska może nie miała ani wówczas, ani później, większego biskupa i obywatela. Byli równi może, ale nie więksi. W Tomickim wszystko uderzało, było wielkie i wspaniałe. Umiał podnosić i siebie i wysokie stanowisko które zajmował. Pierwszy z biskupów krakowskich nie przyjął prymasostwa. Przykład ten już często po nim inni biskupi naśladowali, ale pobudki ich nie były już tak zacne jak Tomickiego. Za czasów jagiellońskich dochody obudwu tych stolic były prawie sobie równe, wynosiły do 40,000 florenów, tak przynajmniej je ocenia późniejszy o lat dwadzieścia biskup Kameryński, nuncyusz w Polsce. (Theiner t. II str. 679.) Wolał się jednak utrzymać

Tomicki przy pieczęci, którejby nie miał przy prymasostwie i przy Krakowie, bo chciał życie całe poświęcić ojczyźnie. Następni biskupi już dochody swoje obliczając, prymasostwa nie chcieli, bo podobno krakowskie od gnieźnieńskich były większe. Tomicki pierwszy też z biskupów krakowskich stale we wszystkich sprawach nazywać się zaczął księciem siewierskim; przed nim jeden biskup Rzeszowski tytułował się tak, ale tylko wyłącznie w sprawach księstwa. Tomicki nie robił tego przez dumę, ale żeby przeciąć drogę roszczeniom do Siewierszczyzny Kaźmirza Cieszyńskiego Piasta, którego przodek sprzedął księstwo. W r. 1518 król był w tej sprawie rozjemczym sędzią i wydał oczywiście wyrok na korzyść biskupa. (Tomiciana.)

Niepodległy w zdaniu Tomicki, prawdę mówił zawsze królowi i szlachcie. Król zaczął zato go mianowicie najwięcej cenić; ale ze szlachtą nieraz biskup musiał się ścięrać po sejmikach, zwłaszcza gdy był jeszcze biskupem poznańskim, albowiem i wtenczas nieraz mu się zdarzało, że brał udział w naradach rycerstwa. Nie spotykamy zaś śladu żeby jeździł na sejmiki krakowskie. Bywało czasami, że wśród zgłuku ogromnego szlachta porywała się do szabel w kościele; panowie uciekali wtedy, a jeden Tomicki niezłamany, nieustraszony, zacnością swoją silny, został i przewodniczył wyborom posłów. Światłemu jego zdaniu wszyscy wierzyli. Dlatego znowu bywało, że w czasie choroby musiał posyłać kogo ze swoich przyjaciół do senatu, ażeby zdanie jego oświadczył. I nieobecnego nawet zawsze się radzili król i senatorowie. Biegłość w sprawach miał Tomicki nadzwyczajną i niedziw; człowiek zdolny i serdeczny, będąc przez lat kilkadziesiąt u steru nawy narodowej, znać musiał dokładnie jej tajemnice. A czynność jego umysłu i praca tak były nadzwyczajne, że nawet najważniejsze osobiste sprawy i choroby nie odbierały mu nigdy ani siły, ani woli. Zrodził się do pracy, dlatego nie tylko pisał, ale i czytał ciągle. Kiedy dnia zabrakło, pracował po nocy. Umiał ludzi sobie dobrać zdolnych do pomocy, uczonych i pracowitych. Nikt mu pod tym względem w Polsce nie sprostał, ani przedtem, ani potem. Ile to prócz tego młodzieży ten zacny biskup kosztem swoim wychował po akademiach zagranicznych, dla usług ojczyźnie! Wspierał i w kraju ludzi uczonych i zagranicą. We Włoszech dziwno się tej wielkiej szczodrości, bo z żadnego kraju nie widziano tyle młodzieży, co z Polski, od żadnego biskupa i księcia tylu co od Piotra biskupa krakowskiego. Już nie mówić o szkołach i bursach w stolicy. Dwór jego błyszczał mistrzami, którzy kształcili synów najcenniejszych senatorów. Kanclerzem akademii krakowskiej był bardzo gorliwym i ciągle obstawiał za jej prawami. Zalażył na niej katedrę języka hebrajskiego i oddał ją uczonemu przechrzcie Leonardowi, a potem sprowadził biegłego w hebrajszczyźnie Jana Campensisa. Ściągnął także ze Śląska do języka greckiego Jerzego Libana. Liban, przesładowany za swój język, że błędy greckie szczerpi, musiał porzucić katedrę. W Krakowie wykład jego był nowością, po grecku zaś księży nasi nie umieli, więc posadzali go na pamięć. Iluż to uczonych dzieła mu swoje ofiarowało! Rudolf Agrykola, Jan Campensis, Cervus z Tucholi, doktor Walenty Polydamus... Pierwszy Tomicki stale dla swojej dycyzyi drukował mszały i rubryce.

Hojnem także było miłosierdzie chrześcijańskie Tomickiego. W ciężką zimę rozsyłał ze dworu dóbr swoich pieniądze, żeby dla biednych urzędnicy jego kupowali kozuchy. Jeżeli zaś kiedy sam biskup na wieś przyjechał, zbierał dzieci i sam rozdzielał pomiędzy nie wsparcie.

Król wydawał córkę Jadwigę za Joachima elektora brandenburgskiego i zaprosił także biskupa bardzo chętnego na wesele. Pojechał do Krakowa ze wsi Tomicki, ale zachorował gorzej, zwłaszcza że od obowiązków swoich ani na krok odciągnąć się nie dał. Odwizdał go w tej chorobie i elektor Joachim. Dwa miesiące biskup nie chodził do senatu, przez cały ten czas uroczyście, a jednak pracował. Lecz po odjeździe króla, i królowej z mężem życie jego nikło. Na półtora miesiąca przed śmiercią kazał napisać testament. Na kilka dni przeczuł swój koniec i najspokojniej, najprzytomniej, wśród modlitw, umarł w Krakowie 29 października 1535 r. Żył lat 74. Nagrobek jego jest w Starowolskim.

Julian Bartoszewicz.